



ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYŚLOWEJ :: :: ::

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: „Ostoja” Poznań — Plac Wilhelmowski 17. :: :: ::
Przedstawicielstwo redakcji na AUSTRO-WĘGRY: JAKÓB GESZWINĐ, WIEDEN, (Hauptstr. 147).

Prenumerata roczna (na pocztce) — 40 marek, **półroczna** — 25 marek, **kwartalna** — 14 marek.
Zeszyt pojedynczy 3 marki. — Przesyłka pod opaską 15 fen. za zeszyt.

Prenumerata na Austro-Węgry roczna 64 korony — **półroczna** 32 korony — **kwartalna** 17 koron.
OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

Administracja uwzględni wypowiedzenie prenumeraty tylko na dni 14 przed upływem każdego ćwierćrocza.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

OD REDAKCJI: Rękopisy zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — Odpowiedzi na listy za nadesłaniem marki pocztowej. — Rękopisy bez nazwiska autora i wyraźnego adresu niszczą się bez czytania. — — —
Redakcja nie wdaje się w dyskusje na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocn tychże.

„OSTOJA” Spółka Wydawnicza

w Poznaniu, pl. Wilhelm. 17
Telefon 5100

Opuściło prasę najnowsze wydawnictwo nasze p. t.

W przededniu nowych zadań zbiór studiów o polskich zagadnieniach gospodarczych.

Zawiera prace następujące:

- T. Adamczewski — Przyszły Bank biętowy w Polsce
- Dr. St. Pemaczyński — O emigracji not ziemskich
- Dr. Z. Karpiński — Rola złota w polityce walutowej przyszłego Banku Polskiego
- Dr. E. Rose — Król. Polakie a Galicja — Drogi zbliżenia gospodarczego
- Stefan Haupa — Polityka komunalna w Królestwie Polskiem
- Konstanty Zachert — Zagadnienia polityki drzewnej w Król. Polskiem
- Dr. St. Wachowiak — Wychodźstwo westalsko-nadrenskie a reemigracja
- Paweł Spandowski — Pod adresem przyszłego prawa polskiego o towarzystwach akcyjnych
- Dr. Marjan Glowacki — Przedsiębiorstwa ubezpieczeniowe na ziemiach polskich i znaczenie ich dla gospodarstwa narodowego
- Stanisław Marciniak — Wpływ wojny na finansowe położenie rolnictwa w Wielkiem Ks. Poznańskiem.

Cena mk. 10.—



zalatwia z członkami wszelkie interesa bankierkie.
Pożyczki na przystępnych i dogodnych warunkach.
Papiery wartościowe jako pewna i korzystna lokacja kapitałów.
Rachunki czekowe z wielkimi dogodnościami dla wplat i wypłat.
Udziały członków przyniosły 8 procent dywidendy.
Wkładki i oszczędności oprocentowane od dnia złożenia pieniędzy po 3, 4 i 4½ procent.

ADRES:

BANK LUDOWY, Inowrocław (Hohensalza).

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYSŁOWEJ :: :: ::

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: ZDRÓJ — POZNAŃ PLAC WILHELMOWSKI 17.

TREŚĆ: Ostatnia noc — Stanisław Obrzud (inicjał J. Hulewicza). Ekspresjonizm, Słowacki i Genezie z Ducha — St. Przybyszewski. U poetów — Miriam. Opowieść rybałta (DOK.) — Wacław Berent (przyozd. J. Hulewicz). Zagłada domu Usher'ów — 'Edgar Allan Poe (przełożył Stan. Wyrzykowski). Na marginesie Don Kiszota — Michał Sobieski. Taras Szweczenko i Polacy — Fr. Rawita-Gawroński. Miscellanea.

RYCINY: Rysunek — Jerzy Hulewicz. Drzeworyt oryg. — Artur Swinarski. Drzeworyt oryg. — Jerzy Hulewicz. Rysunek — Stanisław Dąbrowski. Rysunek — Jerzy Hulewicz. Rysunek — Jan Hrynkowski.

OSTATNIA NOC

STANISŁAW OBRZUD.

(z motywów helleńskich).



iej litość sam nad sobą! Zbrojny trójrzędowiec
kołysze się na fali, której plusk daleki
woła cię, jak pasterza bek zbłąkanych owiec!

Już żagle znikły z masztów, jak ludzkie powieki
opadają na oczy, aby myśl zataić
widoczną w nich, jak kamień na dnie górskiej rzeki.

I maszty wstecz runęły, by na dnie się czaić,
jak dwa na klucz cyranek zajadłe jastrzębie.
Dwa, czarne jak kruk, woły kazałem umaić

i krwią ich zrosić ciemne Poseidona głębie,
aby jego życzliwość dla ciebie zaskarbić
i mieć uzdę na burze we Władcy trójzębie.

Niewolników kazałem szafranem ufarbić,
golenie im dozorecy oliwą natarli;
już pod ciężarem wioseł poczęli się garbić.

Sternik czekał — czy pragniesz, byśmy szaty zdarli
i czekali, jak płaczki, aż Charon złowrogi
odwiezie cię w te kraje, kędy błądzą zmarli?!

... Tak błagał, Sokratesa obejmując nogi,
wierny mistrzowi Kriton — — a Faidon milczący
myślał, że litościwsi są ludzie niż bogi. — — —

Łęklawie zamigotał knota płomyk drżący,
czepiając się lic zbłądłych i porfirów kaźni,
od morza wiew wolności wślizgnął się kuszący.

Uczniowie dech zaparali, zastęgli w bojaźni,
czekają, co powiedzą dumne mistrza usta,
głowy chyląc ku niemu, by słyszeć wyraźniej.

I była chwilę cisza przeraźliwie pusta
i tylko serca wszystkich tłukły się, jak ptaki,
gdy pod nożem ofiarnym krew z nich ciepła chlusta.

Mistrz milczał. Dusza jego, słonecznymi szlaki
przyzwyczajona chodzić, gdzieś na mleczną drogę
wybiegła za prawd nowych promiennymi znaki.

A może poczuł w sercu ludzką śmierci trwozę,
ów dreszcz zimny przed obcym z tamtej strony bytem
i wstyd na twarzy jego zapalił pożogę? ...

Może rozpaczy Harpje z wściekłym zębów zgrzytem
jego niezłomne dotąd ramiona obsiadły
i szczerkały: ... Daremnieś chciał być Grecji świtem!

— A może, o boleści! — wszystkie gwiazdy zbladły,
które potęgą twórczą z własnej wywiódł duszy
i ni to zeschnęła glina na piach się rozpadły?

Lub może w serca jego straszliwej katuszy
myśl posępna, jak żmija, nad nim zasyczała,
że się głaz jego woli w życia zimie skruszy? — —

— Nikt nie wie!... Było ciemno. Oliwa skwierczała,
dopalając się w lampie długą kopcim smugą,
jak gdyby twarzy mędrca oświecić nie chciała.

I było jej konanie słyhać chwilę długą,
coraz cichsze, wężlejsze, nareszcie zagasła,
zaplakawszy nad sobą iskier złotych strugą...

Ścisnęła serca trwoga, jakby się zatrzaśła
brama życia a z czarnych czeluści Hadesu
zawyły Erinyje straszne sądu hasła. — —

— Twoja prośba, Kritonie, jak krzew aloesu —
zabrzmiały pośród ciszy dziwne mędrca słowa,
bezdźwięczne, jakby wyszły nie z ust, lecz z bezkresu —

treść jej gorzka, a barwa od krwi purpurowa,
która z twojego serca ku mnie spłynąć pragnie
i rani, chociaż kolce litościwie chowa.

Nikt ciała wbrew swej duszy do życia nie nagnie,
a gdy dusza blaskami słońca się nasyci,
czyż ma, jak błędny ogień, czołgać się po bagnie?

— Któż wie, o drodzy moi, co duszę zachwyci,
kiedy ciało pięść Śmierci przydusi i zdławi,
kiedy z gliny przyziemnej na wieczność obmyci

wylecimy, jak ptacy, których świat ten bawi
dlatego, że się mieni tęczowemi barwy
i myśl żadna ich mózgow nie szarpie ni trawi,

że są to może tylko naszych zmysłów larwy? — —

* * *

Żądasz, bym, człowiek jeszcze, zdeptał ludzkie prawo
i w mięśniach twych wioślarczy szukał ocalenia?!
... Ach Kritonie, dajmon mój zapłakałby krwawo

i odwrócił twarz swoją, szarą z oburzenia,
gdybym słowom twym uległ i rady posłuchał!
Myślisz, że pośpiech kroków treść bytu odmienia?...

Żądasz, aby Hefajstos, który ogniem buchał
i luną noc zawidniał, swą iskrę ostatnią
omdlałych płuc wysiłkiem w lichy błysk rozdmuchał?

Ażebym rńto jeleń ze strachu przed matnią,
Stanął i w bok odskoczył? — Nie, mój przyjacielu,
musisz znieść, iż odrzucę twoją rękę bratnią!

Jak diskos pewną dłonią rzucony do celu,
świadomie łuk zataczam. Mógłżebym przed metą
sprzeniewierzyć się temu, ku wrogów weselu,

co było życia mego treścią i podniętą? — —

* * *

Słowa te, ptacy smętni, ptacy niewidzialni,
skrzydłami były w dusze, jakby nie z człowieka
wyszły, lecz dajmonowie grali je astralni.

Niejedna tam zapewne nabrzmiała powieka,
niejedna łza po rześach na lica opadła,
jak rosa, co po trawie na ziemię ocieka.

W mrokach pelzały smutne Erebu widziadła,
z którymi rozum ludzki walczył nadaremnie,
niejedna tam zapewne twarz z trwogi pobladała.

* * *

..Brzękły wrotnie, błysk światła rozdarł kaźni ciemnie,
wszedł strażnik. Wzdrygnęła się uczeni rzesza wierna,
jakgdyby sam Thanatos wszedł tu potajemnie!

Twarcz stróża, zwykle chmurna i jak śpiż pancerna,
dzisiaj skurczona bólem. Ukryć go nie umiał,
jak dziecko, gdy je skrzywdzi dłoń niemiłosierna.

— Prostack był, jednak grozę chwili tej rozumiał. —
Na fali morza drżącej wiatr skrzydła rozwinął
wpadł do kaźni, sposepniał i smutno zaszumiał.

Sokrates, milcząc, ręką na strażnika skinął,
serca wszystkich zamarły, lęk je zmógł i zdławił;
Strażnik szedł, głośno łkając, wreszcie uczenie minął,

kaganek u wezłowania skazańca postawił,
drżał, jak liść, gdy mu czarę fatalną podawał,
potem jak martwy runął, bo żal moc w nim strawił.

I świat się jakiś dziwnie mały, nędzny stawał,
jak gdyby milion duchów na nim braknąć miało,
jakby Kronos zgryzł w gniewie wielki globu kawał.

Uczniów bezradne stadko głośno zapłakało,
jak owce, gdy im wilcy pasterza rozszarpia,
od krzyków, biadań, gestów się zakotłowało —

Tak drżą duchy umarłych ze strachu przed Harpią.

* * *

Milczel — rozkazał mędrzec. — Idź, mój przyjacielu!
Piękną przyniosłeś czarę, zręczny zdun ją robił,
z takiej czary zapewne pijało niewielu.

Patrzcie na malowidło! — Tak Klijas zdobył,
on tylko, mistrz nad mistrze. — Na tle purpurowem
trzy Moiry, jakby je Styks w głazach nocy żłobił.

Baśń stara, lecz w artysty wykonaniu nowem
wezbrała głębią myśli, ni to morza łono
pod pieszczącym je słodko światłem księżycowem.

Oto młodzieńcza Klotho. Kręci swe wrzeciono
i snuje nić żywota z twarzą przebolesną,
skamieniałą w zadziwie, że jej przeznaczono

wypędzać ludzkie dusze w tę podróż bezkresną,
której nikt nie odgadnie celu ani treści. —
Obok niej niosą fale: Lachezis, rówieśną

Przędce wiekiem. Zdobí ją wszystek czar niewieści
i owa, tak powabna, kobieca zdradliwość,
w której się uśmiech słońca i błysk noża mieści.

Jedną ręką odpędza dusz-fal pożądliwość,
drugą tabliczki Losu w okół rzuca hojnie,
z uśmiechem rozdzielając mękę i szczęśliwość.

Drwię z niej! Dusza ma w niebo szła sama i zbrojnie,
nie dbając, czyli padnie lub w laur się ustroi,
dając i biorąc rany, jak żołnierz na wojnie.

Precz więc z łzami! Śmiecie się! Klaszczcie bracia moi!
Atropos już mnie wita, wróżka promienista,
i zaprasza swą dłonią do wiecznych ukoi.

Was czeka jeszcze droga długa, zmudna, mglista;
komuż płakać, a komu dziś się śmiać wypada?
Nie widzicie, iż przy mnie korzyść oczywista? — —

— Tak rzekł, truciznę wypił, na tapczan upada,
rękami, jak ptak skrzydły, o kraj łoża bije,
dřętwieje, potem zimnym zroszona twarz blada.

Lecz oczy niech się nigdy nie chwalać niczyje,
iż widziały, jak na twarz wypełzła mu trwoga —
ostatnim rąk wysiłkiem głowę w chiton kryje.

Z pod chitonu szept idzie: Bracia... jasna droga...
Słońca tańczą... nieziemskie grają słodko fletnie...
wyzdrowiałem... Ach bracia!... mego... widzę Bogall...

* * *

Szept kona, a Śmierć ciało wnet w lód zimny zetnie.



Rysunek — Jerzy Hulewicz.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

EKSPRESJONIZM — SŁOWACKI

I „GENEZIS Z DUCHA”

PRACA GENEZYJSKA DUCHA AŻ DO
STWORZENIA PIERWSZEGO ORGANIZMU.
NARODZINY DUSZY.

Tu nam się dłużej trzeba będzie zatrzymać.

Słowacki nie jest panteistą — całkiem przeciwnie:

„Panteizm” jest w najściślejszym znaczeniu nauką, że wszechświat jest Bogiem, a Bóg wszechświatem, wszystko pochodzi z całości (*Tò Tiàn*), całość jest nieskończoną Jednią wieczną i wszechmocną, Bóg jest siłą całości, duszą świata, prawem natury — w znaczeniu rozciąglejszym jest twierdzeniem, że nieskończoność jest w istocie swej spokrewnioną skończonością. W jednym i drugim znaczeniu zarówno zawarty jest protest przeciw pozaświatowemu istnieniu Bóstwa i wogóle przeciw dualistycznemu rozdziałowi Boga od świata: „Bóg uświadamia się dopiero w człowieku, w nim jedynie staje się Bogiem” — (immanentny panteizm Hegla) — a w przeciwstawieniu do „indywidualizmu” twierdzi panteizm, że mnogość i różnorodność zmiennych i znikomych jednostek jest tylko złudą, jedyną rzeczywistością jest jednolita przyczyna światowa.

Słowacki jest nawskroś „indywidualistą”.

Każdej jednostce przysługuje nie tylko ludna, ale pełna i istotna rzeczywistość — każde indywiduum jest zwierciadłem Absolutu, i to zwierciadłem żyjącym („*miroir vivant de l'univers*” Leibniza). Nawet najniklejsza drobina, z jakiej się organizm składa — a więc „monada” — jest zwierciadłem całości, każda z nich cielesna i duchowa zarazem, formą i materją, i każda wieczna: li tylko jej łączenia są zmienne.

Tę naukę o „Monadach” duchowych, która jest podstawowym fundamentem teorii indywidualizmu, jaką głosił już Giordano Bruno i Mikołaj z Kusy (Cusanus), a którą nieśmiertelny Leibnitz (ponoć słowiańskiego pochodzenia) wypracował w najdokładniejszych szczegółach, znał Słowacki niezawodnie — właśnie on, który przeszedł te straszliwe męczarnie, gdy Bóg ducha jego zamienił „w kłęb ognia i zawiązał go na przepaściach” — otóż czytamy w Teogonii:

„O męko, wtenczas w duchu rozpoczęta,
dotąd trwasz, dotąd więziasz mnie na globie,
podobne duchy, zwolawszy ku sobie,
z niemi związyły jako podłe śmiecie

w kłęb jeden... Bo na początku był Pan — a myw Panu Duchowie — pełnia ojcowskiego łona,
liczniejsi, niżli piaski oceanu...”

I dłużej rozwieść się będzie trzeba nad tę indywidualistyczną nauką o monadach, bo wtedy dopiero będzie można zrozumieć, „że forma djamentowa ułożyła się z żywych a wody zaczęły się łączyć z ruchomych, lekko związanych i uczących się „równowagi duchów”, zrozumieć, że są liczniejsi nad piaski oceanu, a przedewszystkiem, co oznacza on Duch, który się godzi z Słowem globowem.

Otóż w krótkim zarysie teoria Leibniza o monadach. Mniejsza o to, czy ją Słowacki znał lub nie — chociaż przypuszczać należy, że wglębiał się w Leibniza naówczas niezmiernie popularną Teodiceę — obojętnym również, czy mamy w nauce o monadach szukać źródła, czy też tylko pokrewieństwa, chodzi li tylko o to, by zgłębić naukę Słowackiego. Atomiści mają słusność, mówi Leibnitz, jeżeli żądają dla zrozumienia ciał pojedynczych składników, nie mogących się już dalej dzielić, bo wszystko, co jest złożone musi składać się z pojedynczych jednostek. Ale myślą się, że te ich atomy są niepodzielne — wszystko, co jest materialne, a choćby było całkiem niedostrzegalne, jest podzielne w nieskończoność. Jeżeli się chce niepodzielne atomy znaleźć, trzeba ich szukać w świecie niematerialnym i zdecydować się na twierdzenie, że ciała składają się z niematerialnych pierwiastków. Fizyczne punkty atomu są cielesnymi, a więc nie mogą być sztucznymi pierwiastkami, bo są podzielne; matematyczne punkty nie są podzielne, ale nie istnieją; tylko metafizyczne, czyli substantialne punkty bezcielesne, duszą ożywione jednostki zawierają w sobie niepodzielność i realność. Istotnymi atomami są monady. Ponieważ są niepodzielne, więc są wieczne, bo jest wykluczonem, by mogły przez łączenie i rozdrabnianie (rozłękę) cząstek powstawać lub ginąć, a więc nie mogą powstawać na naturalnej drodze, tylko wskutek stworzenia, lub ginąć wskutek zniszczenia. Ponieważ są bezprzeźreniowe, więc wykluczony jest wpływ wszelakiego działania na zewnątrz — monada rozwija wszystkie swoje stany, sama sobie starczy i zasługuje na nazwę arystotelesowskiej entelechii (ureczywistnienie celu).

Cartesiusz ma rację, jeżeli z pojęcia substancji wywodzi całą metafizykę i objaśnia je niezależnością. Ale niezależności nie można brać w pojęciu nieograniczoności, bo wtedy możnaby tylko wraz z Spinozą mówić li tylko o boskiej substancji. A więc trzeba porzucić niezależność istnienia i przyjąć niezależność działania, na miejsce samoistości przyjąć samodzielność. Substancją nie jest to, co

samo przez się istnieje, ale to, co samo przez się działa, lub też przyczynę do wszelakich zmian samo w sobie nosi. Substancją można zatem określić, jako siłę. Substancja jest zatem „un être capable d'action“. Czynność i istnienie jest identycznym: quod non agit, non existit. Przez wewnątrz czynność jest wszystko istniejące ściśle określone, od innych istniejących rzeczy różniąc się indywidualnie. Substancja jest jednostką, obdarzona czynną siłą.

Czynna siła monad polega na możliwości wyobrażenia — są to istoty wyobrażające sobie. I nie ma w świecie nic rzeczywistego, prócz monad i ich wyobrażeń.

Wyobrażenia ma atoli u Leibniza szersze pojęcie — niekoniecznie trzeba myśleć o uświadomionej wyobraźni duszy ludzkiej. Zachodzi bowiem różnica pomiędzy zwykłym przyjmowaniem wrażeń, a tem, które się nie uświadamia: perception i apperception. Poszum fal, jaki słyszymy w pobliżu morza, składa się z miliardów szumów pojedynczych fal. Każdy z tych poszumów jest za słaby, by mógł być słyszany — a jednakowoż musi bezświadomie na naszą duszę oddziaływać, bo inaczej wszystkie te poszumy razem zebrane, nie mogłyby być słyszane — suma niesłyszanych poszumów — nie mogłaby być szumem. A więc szum pojedynczej fali jest słabym, niejasnym, nieświadomym wrażeniem (petite, insensible perception), który potrzebuje połączenia z milionami również małych, nawet minimalnych poszumów, aby przekroczyć próg świadomości, to znaczy: aby mógł być przezemnie posłyszany. A więc szum pojedynczej fali jest przezemnie przyjęty, ale nie uświadomiony, „percypowany“, ale nie „apercypowany“.

Te ciemne, nieświadome stany percepcji, które i w duszy człowieka obok jasnych stanów świadomości się znajdują, wypełniają całą duszę monady na najwyższym szczeblu jej rozwoju. Są istoty, które poza ten stan całkiem nie wychodzą.

Wyobrażenie zatem jest zawartość z wewnątrz wewnątrz, mnogości w jedni (repraesentatio multitudinis in unitate). Wyobrażająca sobie istota ma w sobie mimo swej jedności i niepodzielności nieobjętą mnogość stosunków do zewnętrznych rzeczy. A czem jest mnogość, która w jedni, t. zw. monadzie się wyobraża i się przedstawia? Cały świat. Każda monada reprezentuje zatem w sobie wszystkie inne, jest skoncentrowaniem Wszech Universum w mikrokosmie. Każde indywidualium zawiera w sobie nieskończoność a najwyższą inteligencją, w której każde nieświadome wrażenie w tej chwili się uświadamiało, mogłoby w każdej monadzie odczytać cały wszechświat, i wszystko, co się w świecie dzieje,

wszystko, co było, jest i będzie. Bo to, co było, pozostawiło niezatarte, aczkolwiek nieświadome ślady, a w przyszłości nic się nie dzieje, co by już nie było w teraźniejszości przygotowane: monada jest obarczona przeszłością i nosi w swem łonie całą przeszłość. Także jest monada z zwierciadłem w s e c h b y t u — ale żyjącym zwierciadłem (miroir vivant de l'univers), który własną czynnością odzwierca obrazy, lub też je z wewnętrznych kielków rozwija bez wpływu z zewnątrz. Monada niema okien, przez które mogłoby coś w wędrować, albo z niej wyjść — w swej czynności jest tylko zależną od Boga i od siebie.

Ale żadna monada niewyobraża Universum i jego pojedynczych części tak dobrze i dokładnie, jak inna, tylko lepiej, lub gorzej, ciemniej, lub jaśniej — jest taka różnica w jasności i dokładności, ile jest monad. Leibnitz przyjmując jasne i zawile wyobrażenia, rozróżnia je na jasne, jeżeli od wszystkich innych, do k ł a d n e, jeżeli w składowych częściach od innych rozróżniane być mogą. I tak dochodzi do trzech głównych szczebli. Na najwyższym stoi n a g a m o n a d a, która nie wychodzi poza nieświadome, lub całkiem niejasne wrażenie, i przez cały swój żywot spoczywa w zatumanieniu, albo odurzonej niemocy. Jeżeli wrażenie się uświadamia i połączone jest z pamięcią, wtedy monada zasługuje na nazwę duszy. A jeżeli dusza dochodzi do s a m o w i e d z y, do r o z u m u, do dokładnego rozpoznania ogólnego bytu, wtedy staje się duchem. Duch jednakowoż zawiera w sobie i niższe szczeble, bo i w duchu jest mnóstwo wrażeń ciemnych, zawiłych i pogmatwanych.

Każdy organizm jest kompleksem monad, w których jedna dusza panuje, a wszystkie inne, które ciało tworzą, jej podlegają. Ta panująca monada różni się od innych jasnością wyobrażeń, to znaczy, że percepcja staje się w niej świadomą apercepcją. Jedynie tylko w tej przewadze, jaką ta jedna monada mocą jasnego uświadamiania wrażeń nad innymi posiada, polega jej panowanie nad ciałem. Wszystko w naturze jest organicznym. Niema ciała bez centralnej monady, którą jest dusza, niema martwej materji. Najmniejszy pylek jest zaludniony myrjadami żyjątek, w kropelce wody roi się od organizmów, a każdą drobinę materji można porównać z stawem, wypełnionym rybami, bujnym ogrodem, pełnym najróżniejszych roślin. A jeżeli nam się coś wydaje anorganicznym, to tylko złuda.

A jeżeli niema ciał bez duszy, tak też niema dusz bez ciał — zawsze jest dusza połączona z agregatem podwładnych jej monad, ale oczywiście nie z jednym i tem samym. Bezustannie wstępują

monady w jej ciało i z niej wychodzą; dusza znajduje się w stanie ustawicznego przecieśnienia. Zwykle zmiana następuje powoli i w bezustannem zastępowaniu wydzielonych części przez nowe. Jeżeli zmiana szybko następuje, wtedy mówią ludzie o urodzeniu i śmierci. Rzeczywistej śmierci niema, jak również nie istnieje rzeczywisty początek: nie tylko dusza, ale wszystko żyjące jest nieśmiertelne. Śmierć jest inwolucją, urodzenie ewolucją. Umierająca istota popada tylko w stan drzemki i kielkowania, w stan inwolucji, w której znajdowała się przed urodzeniem, a z którego zostaje przez poczucie powołaną do ewolucji. Tak zwierzętom, jak ludziom trzeba bezwzględnie przyznać przedbytowe i pozabytowe istnienie.

Cała nauka Słowackiego o duchach ruchomych lekko związanych, uczących się równowagi, całkiem teraz staje się zrozumiałą.

Wszystkie te duchy, są to „nagie monady“, które nie wychodzą poza nieświadomą wyobraźność i przez cały swój żywot spoczywają w odurzonej niemocy. Kompleksy tych monad tworzą formy dżamentowe, kryształowe — pierwsze niegdyś ciała ducha naszego, dziś już przez wszelki ruch opuszczone, a jeszcze żywe, chmurami i piorunami ukoronowane; ale to, że się te „nagie monady“ ukształtowały w jedno ciało, w góry, skały, wodę, w dżamenty i kryształ, to sprawiła centralna monada: Duch!

Ale ten Duch nie był jeszcze świadomy — on spoczywa w tym anorganicznym świecie, jako posąg doskonałej piękności, uśpiony jeszcze, ale już przygotowany na człowieczeństwa formy, a tężami myśli Bożej spowity niby sześćioraką girlandą. (Ten ostatni piękny i poetyczny frazes wskazuje znowu na uśłowiana Słowackiego, by swoją koncepcję pogodzić z Genezą Starego Testamentu.)

Ten duch „uśpiony“, centralna monada „nagich monad“, nie był zatem jeszcze uświadomioną pamięcią obdarzoną monadą, a więc taką, która zasługuje na nazwę Ducha, więc wskutek tego nie mogło jeszcze być śmierci, to jest przejścia Ducha z formy do formy — i dla tego też zapożywa Słowacki Boga „te kryształy twarde, pierwsze niegdyś ciała ducha naszego“, dziś już przez wszelki ruch opuszczone (najpierwotniejszą energją ducha), a jeszcze żywe (bo istnieją w trwałym stanie „nagich“ monad nieuświadomionych): bo to są Egipcjanie pierwszej natury, którzy na lat tysiące ciała sobie budowali, ruchem pogardzili, w trwaniu i spoczynku rozmiłowali się jedynie“.

I z teorii o monadach, da się wywieść szczytna nauka Słowackiego o pierwoiującym Duchu — jest

to właśnie ta centralna monada — uśpiona wprawdzie, ale zdołała się ona wywyżżyć ponad cały ten nieobjęty „piasek“ oceanowy duchów i żadną pamięcią nie obdarzonych duchów i była jednak w stanie ukształtować się w nieograniczone kształty.

Ale praca ta była tak męczeńska i tak wyczerpująca, że Duch-prowodyr nie był już zdolny do dalszej pracy, i wtedy nastąpił drugi upadek Ducha, a w ślad za nim straszliwa kara:

„Ileż ty Panie użyłeś piorunów bijących w skały bazaltowe pierwszego świata, ile ogni podziemnych, ile wstrząśnień, abyś te kryształy rozbił i zamienił w proch ziemski, będący dziś odrzuceniem pierwszych przez Atrakcją ducha postawionych kolosów!“ (Dowiedujemy się ztąd, że centralna monada świata nieorganicznego tworzyła pierwiastki gór, przez atrakcję duchów, to znaczy „nagich monad“).

Każał-li Duchowi samemu zniszczyć się? czy przerażony, sam walił na siebie wybudowane sklepienia?

To ostatnie jest według całej nauki Słowackiego prawdopodobniejsze: Duch uśpiony, wyczerpany męczeńską pracą, obudzili się przerażony gromami Boga, pogruchotał pomniki swego megalomanicznego, niejasnego jeszcze poczucia swej potęgi wewnętrznej, zamienił je na groźne cmentarzysko, bo dokonał się w nim cud nad wszelkie cuda: w Duchu obudziła się — Dusza!

Dusza ta była to „pierwsza skra, która może wielkiemu miesiącowi podobna, wybiegła z gruchotu kamieni, zamieniła się w ślup ognisty i stanęła na ziemi jako Anioł-Niszczyciel“.

Wrażenia dotąd nieświadome poczynającą się uświadamiać i połączone są z pamięcią: są to narodziny duszy w organizmie.

„Tę przeniąświętszą ofiarę uczynił Duch w duszy, obudzony z swego pierwszego tworu, a dziś leży on jeszcze w głębi ciemnej, pod siedmiodniową prac naszych i popiołów skorupa“.

„Wtenczas to, o Panie, pierwsze a idące już ku Tobie duchy w umęczeniu ognistym złożyły Ci pierwszą ofiarę. Ofiarowały się na śmierć.“ A świadectwem tej ofiary, to według pięknych słów Pawlikowskiego: „to góry dzisiejsze, to cmentarzyska pierwszych ciał naszych, świadectwa olbrzymich wybuchów naszego własnego ducha; zgruchotane pomniki wielkości, otulone melancholją i grozą, z zawieszonym nad sobą przekleństwem.“

I oto dodaje Pawlikowski głęboką uwagę (ekspresjonistów) powinni się głęboko nad tem zastanowić) jeden z przykładów, w jaki to sposób nauka

genezyjska rzuca uduchowione spojrzenie na świat, otwierając widoki niezrównanej piękności.

Teraz musimy, aby ostatnią zawilość wytłomaczyć, powrócić do miejsca, w którym Słowacki mówi: „Wieki minęły, a duch mój, ani jednego z tych dni minionych nie spoczął... a zgodziwszy się z Słowem globowym, stanowił prawo...“

Zdawałoby się więc, że mowa tylko o jednym duchu pierwoiącym, który ułożył się z mirjadami duchów, stanowiących „Słowo globowe“ — i mirjadem duchów żywych, ruchomych, płynnych, lekko związanych i uczących się równowagi — zdawałoby się więc, że jeden Duch swoje myśli o kształcie zamieniał w kształt i stanowił prawa, którym się sam potem poddawał, aby stanąwszy na tym fundamencie, nowe i wyższe dla siebie drogi obmyślać.

Ale wkrótce potem dowiadujemy się, że ofiarę z pierwszego tworu, który został w rozbryzg kamiennych kolosów zamieniony, nie złożył jeden Duch, ale pierwsze, idące już ku Tobie duchy.

Tu znowu napotyamy na onę znaną już nam nieścisłość Słowackiego, gdy chodzi o konkretyzowanie swoich oderwanych pojęć. Słyszeliśmy już o stu tysiącach Chrystusów, na które jeden Chrystus się rozczepił i w tym wypadku należy uważać tego jednego Ducha pierwoiącego Słowackiego, w którym się mieści cała mnogość pierwoiących duchów — monad centralnych i to samo powtarza się w Króluduchu, co ogromnie przeszkadza w orjentowaniu się wśród zawilości poematu — należy czytać: „Króloduchy“: „Jeżeli naród odbywa jaką fariś, podobną do odbytej przez drugi naród, to wejrzawszy w masę duchów, ujrzelibyśmy, że Król-Duch czyli typ, jest to duch przeszły z narodu w naród, a mocniejszy nad nim, a upragniony przez masę, albowiem ciała na ciała działać nie mogą...“

Duch Słowackiego — też mój Duch, wydaje się zatem być tylko typem innych pierwoiących duchów, Chrystusem Chrystusów, Królem-Duchem Królów-Duchów.

Mój Duch byłby zatem niejako syntezą, ogółem pierwoiących duchów — monad centralnych i w ich imieniu złożył Duch Słowackiego Bogu oną ofiarę śmierci.

A chociaż ja (Duch Słowackiego już uczłowiczony, a więc obdarzony najwyższą atrybucją, jaką monada osiągnąć może przez Rozum, czyli wedle Leibniza: dokładne rozpoznanie ogólnego Bytu) wiem, że złożony w skrze pierwszej (nieuświadomiony stan nagiej monady) Duch mój w kamieniu już żył całkowicie, dla moich wszakże nędznych

oczu, od tej dopiero śmierci i od tej pierwszej ofiary śmiertelnej Duch widomie żyć zaczyna i bratem moim się staje.“

Tak więc Duch, który ułożywszy się z Słowem globowym uśpiony jeszcze, ale już przygotowany na człowieczeństwo formy spoczywa jako posąg doskonałej piękności w skałach — wyniósł z zdruzgotanej przez się formy, bolesnej ofiary, którą Bogu złożył jako pokutę za grzech zaleniwienia i rozmiłowania się w trwaniu i spoczynku, wiedzę matematyczną kształtów i liczb, która po dziś dzień leży najgłębiej w ducha skarbnicy i zdaje się być wszczepioną w Ducha...“

To jedno wywiódł z straszliwego „débâcle“ swoich pierwszych „poronionych“ pomysłów, a które sam zniszczył, sam na siebie walił wybudowane sklepienia — dobrowolną złożył z nich ofiarę i dobrowolnie skazał się tą pierwszą ofiarą na śmierć.

Nie Bóg zatem „poniszczył straszliwymi kataklizmami te kamienne kolosy, w których duch po pierwszym okrzepnięciu formy szukał wyrazu dla dumnego poczucia swej wewnętrznej, światotwórczej potęgi“, jak Pawlikowski, ustep ten komentuje, ale Duch sam — inaczej ofiara jego byłaby niezrozumiała. Uśmiechnął się dobrotliwy Bóg — ogarnął olbrzymią doniosłość tej ofiary, mimo, że w oczach jego ofiara ta była maluczka, bo:

„co dla nich (duchów pierwoiących) śmiercią było, to w oczach Twoich o! Boże było tylko zasniciem Ducha w jednej, a obudzeniem się jego w drugiej doskonalszej formie, bez żadnej wiedzy o przeszłości i bez żadnej przedsennej pamięci.“

Bóg — Monogenes — Nus — najwyższa Inteligencja, w której każde, choćby najniejaśniejsze i już całkiem nieświadome wrażenie w tej chwili się w całej pełni uświadamia, wyczytuje w każdej „nagiej“ monadzie cały wszechświat, wszystko co się w świecie dzieje, działa i dziać będzie, zrozumiał dostojność, aczkolwiek maluczka tej ofiary i nagroził ją nieskończenie monarszym darem: zmartwychwstaniem...“

„Tyś Panie nagroził tę śmierć pojawiającą w naturze po raz pierwszy darem, który dzisiaj nazywamy organizmem. Z tej śmierci jako z najpierwszej ofiary wyrodziło się najpierwsze zmartwychwstanie...“

„Umierać więc i Zmartwychwstawać Duchy, a już nie układać się, lać się, łączyć się i rozwarzać się w gazy poczęły.“

Ponad wszelką miarę musiał Bóg — Monogenes uczcić tę ofiarę — dobrowolną ofiarę: Duch sam wiedział już nauczony pierwszym do-

świadczaniem, że bez jego pomocy każdy kształt „poroniony“ zostanie, więc już teraz, gdy już poniechał tworzenia skał i gór łańcuchów i w ciężkiej pokorze stworzył pierwszą organiczną formę ślimaczka, prosił Boga, aby mu w kawalku kamiennej materji, pełniejszym życiem rozweselić się pozwolił — (pełniejszym, lecz już duszą obdarowanym), a Bóg zniewolony tą dla niego nic nie znacząca, ale dla uśpionego Ducha olbrzymią ofiarą, brał już teraz Ducha proszącego o nowe kształty wprzód w ręce swoje, wysłuchiwał dziecinnych żądań jego i podług woli nowym kształtem go obdarowywał.

I tak Pan przyjął dobrotliwie tę ofiarę Ducha, „ale oszukał go, jak Słowacki w wykładzie Nauki pisze, jak ojciec, który ukochanego syna oszukuje“. Z tej ofiary śmierci wytworzył mu pierwsze zmartwychwstanie, gdyż „śmierć jest królową masek, powłok i szat duchowych, marą bez żadnej rzeczywistej władzy nad stworzeniem“ — snem w śnie, przerwą rozgradzającą pracę dwóch dni.

Teraz zrozumiał Duch, że prawem wszelkiego postępu, mocą, którą się pomoc Monogenesa zjednywa — to ofiarą!

Każdy Duch, długim cierpieniem i niewygodą jego doczesną udręczony, „wiedział i ze łzami prosił Cię Boże o poprawę jego ścian nędznych: a czy te były z perły czy z djamentu, zawsze coś ofiarował Tobie Panie z przeszłych wygód swoich i ze skarbów swoich, aby wziął więcej dla Ducha wedle jego potrzeby.“

Tu już się komplikuje zasadnicza i prosta linja koncepcji Słowackiego.

Duch nie zdolawszy z siebie wydobyć światłości i przez ten grzech pierworodny został stracony w materję, czuje ucisk i uciemnienie. Stara się przeto tę materję urobić w takie kształty, któreby były sposobnemi do jego twórczej wolności, a raczej go znowu z materji wyzwoliły. Ideał tego wyzwolenia jest, jak już wiemy, słoneczność Chrystusowa; aby się do tej słoneczności przedrzeć, „jęczy i wzdycha do Pana i boleje, według słów św. Pawła, a boleść najwyższa, bo z uczucia i wyrozumienia, idzie od człowieka... a wszystko, co ma głos na ziemi, smutne jest...“ Cały bezmiar światów jęczy za wyzwoleniem, to znaczy osiągnięciem jak najdoskonalszych kształtów, by mózdz wreszcie zdobyć on finalny cel: „słoneczną Jerozolimę“: — „słyszę, o Panie świat zapelniony jękiem rodzącej się natury, słyszę laments na urwiaskach skał morskich, że wołają w mglistem powietrzu o zlitowanie się Twoje“ — a myśl? Czem jest myśl — ono obmyślanie nowych kształtów?

Gdy między ducha twojego Chocę, a między cielesnym twojem Nie-mogę zajdzie spór wielki i niby kłót-

liwa rozmowa... a zgiełk i gwar i szelest stąd urodzony napelni ciało twoje, staje się fenomen, który tu po ludzku nauka myślą nazwała... Myśl jest więc wszechmocnością ducha naszego w sporze z niemocą względną formy naszej i zarazem jest uczuciem nieskończoności w istocie duchowej, która się z ograniczeniem formy i czasu ciągle wytwarza.“

I to jest tą najstraszliwszą tragedją Ducha: „my duchy przyszliśmy pod prawem formy“ — Słowacki trzyma się scholastyczno-arystotelesowskiej terminologii i nazywa czynny pierwiastek formą — pasywny materją: tak więc Duch składa się z formy i materji — Bóg jest tylko czystą formą („puruo actus“) — materja jednakowoż nie oznacza cielesności, tylko jest przyczyną hamulców Ducha.

„Duch przyszedłszy „pod prawem formy“ tylko w formie twórczym być może, a ciała pozbawiony, tęskni i wzdycha szukając sobie rodziców“, komentuje Pawlikowski, a dosadniej jeszcze wyraża Słowacki tę mękę w poemacie (Poeta i Natchnienie):

„A piekło nie jest w niebie, ani w skale
„lecz jest to duchów do ziemi przybicie,
„i krzyż, i po ciał władzy gorzkie żale,
„i czas powrotu do ciał niewiadomy,
„i czyn, co w piersiach grzmi jak puste gromy.
„A duchy bez ciała:
„Czasem się zbija i prą całą ścianą
„naturą a ich oddech mniej waży,
„niż tego dziecka, co bańkę mydlaną
„uczyni równą aniołkowej twarzy.
Rozpacz im dano, a skargi nie dano.“

Ducha pojmował Słowacki całkiem konkretnie, gdy Duch traci ciało, traci możność czynu, a nawet myśleć nie może, bo bez „czaszki okna i krążganków“ nie ma myślenia. Czyste duchy włóczą się za ludzmi, myśleniu ich się przypominają, prosząc o wcielenie, a w Raptularzu zapisuje Słowacki „nieszczęśliwy stan ducha bez ciała i żądza urodzenia się była wiadoma już Homerowi“ — kiedy to Odysseusz odgania duchy od krwi, której się chcą napić, aby odzyskać postać i siłę człowieka“.

Ale żaden kształt powstać nie może, zanim Duch go sobie nie wyobrazi — tu znowu napotykamy na naukę „monad“ Leibnitza i potęgę, jaką wyobraźni przypisuje:

„Wyobrażenie jest zawartość zewnątrz w wnętrzu, mnogości i różnorodności w Jedni (repraesentatio multitudine). Wyobrażająca sobie istota ma w sobie zatem mimo swej jedności i niepodzielności nieobjętą mnogość stosunków do zewnętrznych rzeczy. A czem jest ta mnogość, która z „Jedni“ t. zn. w monadzie się wyobraża i urzeczywistnia? Cały świat!

Monada nie ma okien, przez które mogłyby coś w nią wędrować, albo z niej wyjść: wszystkie kształty wszechogółu są w niej w kielkach zawarte.

Te kielki rozwija duch, wiecznągnany miłością — tęsknotą. — obmyśla im coraz wyższe kształty, realizuje ją wolą, która ma tylko jedną granicę:

przyzwolenie Boga — Monogenesa — najwyższego Rozumu, Prapoczątku, Prawdy — Pierwszej czwórki, wylonionej z Prabytu — stwórczyni, pełni ojcowskiego łona.

I tak dochodzimy do jądra nauki Słowackiego w jej zasadniczym, lapidarnym zdaniu:

„Wszystko dla ducha i przez ducha stworzone jest, a nic dla cielesnego celu nie istnieje.“

(C. D. N.)



„Kielki“ (oryg. drzeworyt) — dla St. Frybysowskiego — Arthur Swinarski.

U POETÓW

MICHAŁ LERMONTOW.

* * *

*Kiedy faluje wkrąg złociściejąca niwa,
I szumi świeży las pod dźwięk wiatrzanych tchnień,
I malinowa — w skwar — kryje się w sadzie śliwa
W zielonych listków chłód i przerozkosny cień;*

*Gdy rosną mgłą zbryzgana woniejąca,
W różany zmierzch lub w ranka złoty brzask,
Z zacienia krzów, konwalia ujmująco
Przedemną swój pochyla srebrny kask;*

*Gdy jasny, chłodny źródło, mknąc szmernie po opoce
I pograżając myśl w snów jakichś dziwnych męt,
Tajemną baśń perliście mi bełkoce
O cudach ziem, z kąd gna go fali pęd;*

*Wtedy ukaja się mej duszy popłoch, trwoga,
Chmurny rozjaśnia się na czole zmarszczek cień,
I zdolny-m, w szczęście znów uwierzyć choć na dzień,
I w niebie znów spostrzegam Boga.*

* * *

*Samotniczo wychodzę, gdzie droga.
Krzemienisty z za mgieł błyska szlak;
Cicha noc, pustynia słucha Boga,
Zaa się, gwiazda daje gwieździe znak.*

*Uroczyście w niebie dziś, tajemnie!
W jaśni modrej cicho ziemia śpi...
Czemuż smętno tak, tak ciężko we mnie?
Czekam-ż czegoś? czegoś żal-że mi?*

*Już niczego nie czekam od życia,
I przeszłości nie żałuję scen.
Chcę swobody, miru upowicia,
Chciałbym zapaść w niepamięć i w sen.*

*Ale nie ten zimny sen mogiły:
Takim chciałbym na wiek zasnąć snem,
Aby w piersi śniły życia siły,
By pierś cichym wzdymała się tchem;*

*By mi — dzień, noc — pieścić słuch perliście,
O miłości słodki śpiewał głos;
By nade mną, wiecznie strojny w liście,
Dąb posepny szumił wciąż i rośl.*

MIRIAM.

WACŁAW BERENT

OPOWIEŚĆ RYBAŁTA

(C. D.)



bydy dwa dziecioty garbate rysują się w mroku krypty postaci dwóch mnichów zakapturzonych, kujących w wieko trumny. Z gwoździ na pod ręczu, — w zębach, — świstliwie pogadują ze sobą bracia. Złe są mnichy w tej chwili. Za igrę, której się spodziewali, owo jakie rzemiosło grabarskie sprawować im kazano po nocy. I to dla kogo?... Tyle bo o goliardach wiedzieli zakonniki, że klerki to najbardziej zuchwale, wynoszące się nad stan duchowny; wierszami pyszne, nauką dufne i gardzące mnichami.

Puka któryś z nich młotem w trumnę, tuż nad głową goliarda, jakgdyby budził uspiętego snem wiecznym. I powiada:

„Spokorniałeś bracie?! Poczekaś w tej pokorności na Sąd Ostateczny!... „A wtedy już wam nie pomoże, klerki, Aristotelesa logika. Ani Wenus z synem swoim, ani Zeus wasz z piorunami w dłoni, ani Platon, szaleniec, z zakami swym!... Tak pisze Hieronim święty“.

„Nie pomogą! — zamruczą mnichy, przerwawszy swe pacierze.

„Chocia oni wszyscy zjawiają się wtedy, zmartwychwstali, by pospołu z najpotężniejszymi królami świata drzeć przed Sądem chwilą. „Ty jedynie, — powiada święty, — będziesz się wtedy radował, człeczko ubogi i prostacz! Ty jedynie będziesz się wtedy śmiał i wołał: Oto Ukrzyżowany nasz, ... który niegdyś w pieluszkach, krzykiem dziecka wypełniał stajenkę prostacz! Oto Syn prostego rzemieślnika i kobiety, która z pracy rąk swoich żyła, — a dziś sędzia świata! — czarodziej! — szatanów pogromca!... Tak pisze Hieronim.“

Wynurzony znienacka z za ciemnych kolumn krypty, stanął nad mnichami przeor z latarnią wznieścioną.

„Franciszkanie!...“ — usłyszą nad sobą słowo głuche.

Odezwały się znów pomruki pacierza, uderzyły młoty w trumnę.

A przeor, załamując ręce przed sobą, oddalał się w kolumnowe mroki.

„Z jasnych promieni Twego ducha, Franciszku, owo co pozostało w sercach Twoich „maluczkieli“ — odwieczna tkliwość pieluszkowa i stajenkowa dla Bożego Syna. A bod nią głucha, mrocna pomstliwość prostaków... Oni to uczynią świat, rozmnożą wiarę, rozszerzą serca człeczko, lepsze życie zgotują i na ziemi: — Laici fructuosi sunt! — powtarza za Antonim Padewskim wszystko to prostactwo, dla się tkliwe, dla oświeconych pomstliwe. My to, klerki, kazimy serca, — bodaj i przeory, biskupy, papież nawet! — my krzywdzimy świat, a poniżamy prostotliwe... Zaiste, głęboko wejrzeć musiał w serca maluczkieli on człek, który na grobie swoim, w kościele Wormacyi te słowa wyryc sobie kazał:

„Cum mare siccat et demon ad astra levatur,
tum primo laicus fit clero fidus amicus“.

Rychlej morze wypite, a demon pod gwiazdy
wywyższony będzie
Niżli oświecony przyjaźń prostaka posiedzie“.

Przysiadł przeor w głębi krypty, u grobowej ściany, by w świetle latarni wyciągnąć z zanadra jakoweś karty, dobyte niedawno ze skrzyni. — „Znam! Znam!“ — powiadał dziś jeszcze niedbale o tych strzępach goliardowej „Apokalipsy“, blakającej się w odpisach wśród oświeconych. Śmierć, osłoniwszy powagę i te strzępy, każe mu teraz odczytywać niecierpliwie one wędrowania goliarda z Pitagorem po piekło i czyśćcu.

Czyta tedy na traf:

„...Za dymu siarkowego chmurą ujrzałem czarny korowód postaci mniszych wlokący się ponuro. I usłyszałem, jak okrzyknął się chórem siedmiokrotnym: „Panie!... Panie!...“ Zadrzałem na to wołanie straszliwe. I opuściły mnie czucia wszystkie, gdy się łamała pieczęć siódma...“

Wypadły przeorowi z rąk te karty.

Ile żeś ty człeczko przemarnotrawił ducha w waganctwie! — Bo oto i w tem miejscu urywa się rzecz twoja... I nie wiadomo: one mnichy czarne, — nie dominikany-ż to czasem? za ogniami zapalonych przez się stosów? i siarkowym dymem onych piekieł,

U POETÓW

MICHAŁ LERMONTOW.

* * *

*Kiedy jaluje wkrąg złociściejąca niwa,
I szumi świeży las pod dźwięk wiatrzanych tchnień,
I malinowa — w skwar — kryje się w sadzie śliwa
W zielonych listków chłód i przezroczosny cień;*

*Gdy rosną mgłą zbryzgana woniejącą,
W różany zmierzch lub w ranka złoty brzask,
Z zacienia krzów, konwalja ujmująco
Przedemną swój pochyła srebrny kask;*

*Gdy jasny, chłodny źródło, mknąc szmernie po opoce
I pograżając myśl w snów jakichś dziwnych męt,
Tajemną baśń perłście mi bełkoce
O cudach ziem, zkąd gna o fali pęd;*

*Wtedy ukaja się mej duszy popłoch, trwoga,
Chmurny rozjaśnia się na czole zmarszczek cień,
I zdolny-m w szczęście znów uwierzyć choć na dzień,
I w niebie znów spostrzegam Boga.*

* * *

*Samotniczo wychodzę, gdzie droga.
Krzemienny z za mgieł błyska szlak;
Cicha noc, pustynia słucha Boga,
Zaa się, gwiazda daje gwieździe znak.*

*Uroczyście w niebie dziś, tajemnie!
W jaśni modrej cicho ziemia spi...
Czemuż smętno tak, tak ciężko we mnie?
Czekam-ż czegoś? czegoś żal-że mi?*

*Już niczego nie czekam od życia,
I przeszłości nie żałuję scen.
Chcę swobody, miru upowicia,
Chciałbym zapaść w niepamięć i w sen.*

*Ale nie ten zimny sen mogiły:
Takim chciałbym na wiek zasnąć snem,
Aby w piersi śniły życia siły,
By piers cichym wzdymała się tchem;*

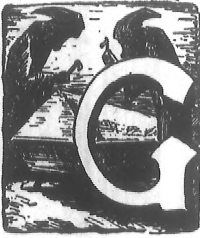
*By mi — dzień, noc — pieszcząc słuch perłście,
O miłości słodki śpiewał głos;
By nade mną, wiecznie strojny w liście,
Dąb posępny szumił wciąż i roś.*

MIRIAM.

WACŁAW BERENT

OPOWIEŚĆ RYBAŁTA

(C. D.)



dyby dwa dzieciół garbate rysują się w mroku krypty postaci dwóch mnichów zakapturzonych, kujących w wieko trumny. Z gwoździ na pod ręczu, — w zębach, — świstliwie pogadują ze sobą bracia. Złe są mnichy w tej chwili. Za igrę, której się spodziewali, owo jakie rzemiosło grabarskie sprawować im kazano po nocy. I to dla kogo?!... Tyle bo o goliardach wiedzieli zakonniki, że klerki to najbardziej zuchwałę, wynoszące się nad stan duchowny, wierszami pyszne, nauką dufne i gardzące mnichami.

Puka któryś z nich młotem w trumnę, tuż nad głową goliarda, jakgdyby budził uśpionego snem wiecznym. I powiada:

„Spokorniałeś bracie?! Poczekasz w tej pokorności na Sąd Ostateczny!... „A wtedy już wam nie pomoże, klerki, Aristotelesa logika. Ani Wenus z synem swoim, ani Zeus wasz z piorunami w dłoni, ani Platon, szaleniec, z żakami swymi!... Tak pisze Hieronim święty“.

„Nie pomogą!“ — zamruczą mnichy, przerwawszy swe pacierze.

„Chocia oni wszyscy zjawiają się wtedy, zmartwychwstali, by pospołu z najpotężniejszymi królami świata drzeć przed Sądu chwilą. „Ty jedynie, — powiada święty, — będziesz się wtedy radował, człecz ubogi i prostaczyl! Ty jedynie będziesz się wtedy śmiał i wołał: Oto Ukrzyżowany nasz, ... który niegdyś w pieluszkach, krzykiem dziecka wypełniał stajenkę prostaczyl! Oto Syn prostego rzemieślnika i kobiety, która z pracy rąk swoich żyła, — a dziś sędzia świata! — czarodziej! — szatanów pogromca!... Tak pisze Hieronim.“

Wynurzony znienacka z za ciemnych kolumn krypty, stanął nad mnichami przeor z latarnią wzniesioną.

„Franciszkany!...“ — usłyszą nad sobą słowo głucho.

Odezwały się znów pomruki pacierza, uderzyły młoty w trumnę.

A przeor, załamując ręce przed sobą, oddalał się w kolumnowe mroki.

„Z jasnych promieni Twego ducha, Franciszku, owo co pozostało w sercach Twoich „maluczkiel — odwieczna tkliwość pieluszkowa i stajenkowa dla Bożego Syna. A pod nią głucha, mroczna pomstliwość prostaków... Oni to ucznią świat, rozmnożą wiarę, rozszerzą serca człecz, lepsze życie zgotują i na ziemi: — Laici fructuosi sunt! — powtarza za Antonim Padewskim wszystko to prostactwo, dla się tkliwe, dla oświeconych pomstliwe. My to, klerki, kazimy serca, — bodaj i przeory, biskupy, papieżę nawet! — my krzywdzimy świat, a ponizamy prostotliwe... Zaiste, głęboko wejrzeć musiał w serca maluczkiel on człek, który na grobie swoim, w kościele Wormacyi te słowa wyręć sobie kazal:

„Cum mare siccatur et demon ad astra levatur,
tum primo laicus fit clero fidus amicus“.

Rychlej morze wypite, a demon pod gwiazdy
wywyższony będzie

Niżli oświecony przyjaźń prostaka posiedzie“.

Przysiadł przeor w głębi krypty, u grobowej ściany, by w świetle latarni wyciągnąć z zanadza jakoweś karty, dobyte niedawno ze skrzyni. — „Znam! Znam!“ — powiedział dziś jeszcze niedbale o tych strzępach goliardowej „Apokalipsy“, blakającej się w odpisach wśród oświeconych. Śmierć, osłoniwszy powagą i te strzępy, każe mu teraz odczytywać niecierpliwie one wędrowania goliarda z Pitagorem po piekle i czyściu.

Czyta tedy na traf:

„...Za dymu siarkowego chmurą ujrzalem czarny korowód postaci mniszych wlokący się ponuro. I uslyszałem, jak okrzyknął się chórem siedmiokrotnym: „Panie!... Panie!...“ Zadrzałem na to wołanie straszliwe. I opuściły mnie czucia wszystkie, gdy się lamala pieczęć siódma...“

Wypadły przeorowi z rąk te karty.

Ile żeś ty człecz przemarnotrawil ducha w waganctwie! — Bo oto i w tam miejscu urywa się rzecz twoja... I nie wiadomo: one mnichy czarne, — nie dominikany — z to czasem? za ogniami zapalonych przez się stosów? i siarkowym dymem onych piekiel,

któremi zastraszą świat?... Ów zaś ich krzyk okrutny, który ciebie z nóg zwałił, — nie wzywanie — z to było Boga mściciela na dominikańskich stosów zapalenie po świecie?!... Możesz ty, bracie poeto, doznał w onej chwili widzenia wróżebnego? Może za oną siódmą pieczęcią tajemniczy ujrzałeś przeznaczenie wszystkich jasnych dążeń z ducha: — zwycięstwo ponurości w sercach człecznych i okrutną nad duchem przemoc prostactwa?!...

„A na zwiastowanie Ewangelii wiecznej długo przyjdzie czekać człowieczeństwul“ — powracał uparcie do swych obliczeń niedawnych w celi.

I szeptała doń melancholia przypomnieniem tej dziwnej opowieści z jakowychś ksiąg kacerskich:

„Niecierpliwil się w niebie duch Święty przed innymi osobami Trójcy, kiedyż mu nareszcie zstąpić na ziemię, wedle pragnienia apostołów i obietnicy Chrystusa. Pokazał mu na to Zbawiciel ranę boku swego i znaki po koronie cierniowej. „He u m i h i l — westchnął Duch święty, — lecz wiem teraz, co mi czynić: zjawię im się w postaci takiej, której t k n ą ć nie śmia.“ — Rozłożył mu na to Zbawiciel przed oczyma swe dłonie przebite...“

Czarne skrzydła melancholii wygarnęły się zmoreą z kostnicowej ściany i objęły starca po raz wtóry.

Otoczał go tymczasem las kolumn niskich i te dołem ścielące się blaski od ołtarza, — gdyby błędne ścieżyny światła przez życia pomroki, aż po grobów niemą ścianę. Woń popiołów z szuflad stali, kapturów mniszych warta nad zmarłym, białe karty brewiarza w czyichś dłoniach, odczytywanego pacierza pomruki i te kucia młotów w wieko trumny. Z nad ołtarza wychylają się ku niej, — pogrozą raczej niżli błogosławieństwem, — te przydługie palce bizanckiej Bogarodzicy.

Sądu Ostatecznego przedsięią zdawała się krypta klasztorna.

Joculatory tymczasem, z pokornego po grodach nawyku, nie śmieli wykraczać z przedsieni kościoła. Kilku z nich przekradło się jednak do organów, by tłumionemi akordy poddać towarzyszom pienia żalobne. W goliardową pieśń uderzyli igrce, a tak żarliwie, że rybałt, w śpiewaniu przodowny, wysunął się poniewoli na środek kościoła — z zamkniętymi nieomal oczyma i szyją wyciągniętą, — jak ten ptak rozśpiewany.

Te Verbum incarnatum
clamant fides, spes, caritas!

Nad prochami poety, Ucieleśnionemu Słowu u skarżyła się w pieśni — wiara, nadzieja i miłość.

Gdy organów tony wyciągnęły ich z kruchty na środek kościoła, zapomnieli wraz igrce o pokorze swej z przed chwili. I po odśpiewaniu modłów, tak się rozwałęsali po nawach wszystkich, takim gwarem wypełnili cisze zakonne, że przeor ocknąć się musiał z zadumy, w przypomnieniu obowiązków gospodarza:

„Który z braci, — obwoływał, — spowiadać ich tu zechce, niech się ku temu przysposobi pacierzem... W piekarni zasię posiłek dla tych ludzi narządzić... A sztuk mi żadnych, — hej tam, igrce! — ani opowiadania romansów przed mnichami po kątach nie wyczynać! Bo nie rozgrzeszę. A jeść nie dam“.

I wstąpił między te postaci pstrokate, obcałowany wraz przez nich po dłoniach i rękawach. Nad goliarda końcem uzalali się przed nim, oczywiście, od pierwszego słowa. Żaki winili w tem lekarza, który mu wczoraj w gospodzie krew puszczał, choć był to dzień świętego Floriana, nie dobry na krwi puszczenie. „A lekarz wiedzieć o tem powinien... Nieuk!“

Wczoraj na rękach przez nich obnoszony „doctor miraculosus et admirabilis“ poniewierany był teraz bez miary w kłótliwych gawędach żaków. (Biada temu, kto stoi o żaków chwalbę i porywy!)

Przeor wiedział snadź o tem coś niecoś, bo z uśmiechem pobłażania przytakuje niedbale ich słowom. Wiedział ponoć, że dobry i zły porywają zarówno te dusze, — acz obaj nie na długo. — Wiedział, że niechby Judasz sam, ze swym postronkiem na szyi, z grobu wstał i siarczyście im przypochlebił, pójdą za nim i w piekło. Daremnie byś wtedy im przekładał: „Żaki, Judasz że to: Pana Boga sprzedał“ — „Niemoże-ż to być — odpowiedzą, — by człowiek o tak pięknej wymowie...“ — Z czasem, gdy doń ostygną, raczą przyznać niedbale: Pewnie tak było, jak powiadałeś. Ale sprzedał, czy nie sprzedał, to ich, żaków, teraz już nic nie obchodzi. Gdzie te czasy! gdzie te kalwarjel! Życie naprzód pędzi. A żakom pilno w życiu.

„Najtrudniejsza to na świecie sprawa i nie lada pasterza rzecz pasać trzody takie. Niestatek szukania ważniejszy im zawsze będzie nad wszystko, co się statkiem zdobyć daje. Ów kur świtów wszystkich, — młodość, — ma jednak osobliwy zmysł przeczuć duchowych, acz pograżony w niewiedzy i zamętach życia stadnego“.

Więc mimo wszystko czuł przeor słabość do żaków. Oto raz po raz kładzie rękę na jedną z tych głów rozgadanych, jakgdyby rzec chciał: „Ucisż że się w sobie, sięgnij w przeczuć twych milczenia!“ — A gdy nie przestawali się uskarżać nad stratą goliarda, przerwał im wreszcie:

„Nie przystoi młodości być płaczką nad grobami; osobliwie, że w każdej żalobie nawet waszej będzie zawsze więcej wewnętrznego swaru, niżli łez. Zaś te utyski wasze, że właśnie temi dniami tyłu z was skończyły z przyczyn wszelakich...? Nie baczą na to nigdy ludzie, acz przytrafia się to, że nie wedle ciał starości śmierć kosi, lecz wedle ducha równieśnego, który już było postarzał. Może u Muz minęło właśnie jakoweś lat 30: przeżyło się jedno pokolenie z Ducha... Nie wam, przedsię, żaki, lecz dla was. Dla was! zrozum każdy. I korność przed tem miej. Zmarłe wprowadzają cię we wrota życia“.

Żak niejeden rozelzał się w tej chwili, bo słyszało się to nieomal, jakgdyby przeor ofiarowywał i życie i serce swe stare — ducha młodości i nadziei nowej.

Że przeor „jest mądry!“ murem pewności stało natychmiast w sercach młodych. (Najmądrzejszy dla nich zawsze ten, kto ich rozrzewni i przypochlebi im zarazem). Więc już ani na krok nie odstępowali od niego. Gdziekolwiek przeor się ruszy, oni trzodą całą za nim, — jak to żaki!

Igrce tymczasem już się pokłócili ze sobą, w którą stronę nazajutrz wyruszyć, do jakiego miasta dążyć. Niejedni tak się przy swoim upierał, że innych, którzy z nim iść nie chcieli, do diabła odsyłał. Wywiązała się z tego zwykła sprzeczka: która sztuka Bogu i ludziom miłsza, a która temi czasy całkiem już nie potrzebna. Że zaś zbrakło między nimi goliarda, który, choć z pustym mieszkim, respekt wzbudzał wśród towarzyszy, — więc oto zarobków grodzkich miarą oceniano teraz sztuk ważność. A nie tylko przodownik ubył im; lecz i ta „królowa cygaństwa“, a matka beztroski: — skoczka, pełna zawsze pogardy dla każdego grosza, którego nie przepito, nie przebawiono gdzieś na świecie. Gdy zaś gromadzie jakiej ubędzie onego respektu przed czemkolwiek, co się zyskiem nie wyplaca w życiu, gdy wystygnie i on zapal, który się żywi beztroską wszystkich, — wówczas samolubstwo przezorne wypelza z każdego serca. Tak się rozbijają gromady wszelkie, — osobliwie te, które skojarzył duch czasów.

Więc, wzdychając po goliardzie, użalał się każdy właściwie nad samym sobą. Spochmurniał nawet gadkarz, wyskarżając się ludziom, że nad sztukę gadkarską wolą dziś mieszczany grodzkich ucieśników uragliwe wysoki przed cudzemi oknami; że od najpiękniejszych gadek ze świata ciekawsze im zawsze najbliższych sąsiadów sprawy i dole; że na nich to, na sąsiadów, gadki układać proszą, — a i szczerymi być obiecują.

„Przyjdzie na te ciężkie czasy mieć się tego rzemiosła; żonkę i bachory tu sprowadzić i osiąść w tem mieście jako magister sedentarius“.

„Niema to, jak sztuka opowiadania romansów! — powiadają inni. Dość spojrzeć na dumne szaty panów zonglerów. Rychło patrzeć jak taki rumaka dostanie i samopas w świat ruszy, chełpliwie spoglądając na dobrych niegdyś kompanów Muzy pedestris“.

„Nie drażnić bestji!...“ — rozległ się w tej chwili głos niedźwiednika z przed kościoła.

Ten bo nawet progę kościelną przekroczyć nie mógł, największy zawsze niewolnik sztuki swojej. Tymczasem oganiał swego zwierza, jak od much, od pustoty rybałtek. Goliarda pożałował było pacierzem, jako chrześcijanin, bo nie jako towarzysz: miał z nim porachunki zazdrości o skoczke; a teraz i za śmierć jej winić go musiał. Tam oto, za fossę i wał klasztornej granicy rwało się przygębienie jego. Wyprosiwszy wreszcie od mnichów łopatę i latarnię, ruszył wraz z niedźwiedziem, by pogrześć tę resztę, jaka z niej pozostała — dla nikogo już teraz.

A przedzierając się wraz ze zwierzem przez ciernie na wale, wspominał jej chwile ostatnie, na które nadbiegł jeszcze z towarzyszami. Goliard już nie żył było, a przecie głową tak się jeszcze rozpacznie do jej piersi tulił, że ona, nieprzytomna już całkiem, głaszcze go wciąż jeszcze po włosach i powiada cicho: — „Żeście mi dziecka nie dali, jeszcze mi wam i matka wać...“

To było jej słowo ostatnie, — za kobiecego życia pieczęć na ustach.

Przedarł się wreszcie niedźwiednik przez te ciernie. W ponurych ciemnościach wśród ruin, błyskiem latarni nagle objęte, leżało — żywym kamieniem, rzekniesz, na wyzwanie, — skoczki ciało nagie.

I w czarodziejским jakby okolu tego światła, na złem miejscu, za klasztoru granicą, świecić się począł tej nocy — żądz sabat wtóry. Wzgardzony za życia kochanek, pelza oto na kłęczkach wokół tego ciała i całuje bez pamięci jej włosy, usta, kolana i stopy.

Aż niedźwiedź, niuchem poczuwszy trupa, począł trącać swego pana: „Spójrz, co czynisz!...“ A gdy w swej trosce nazbyt natarczywy się stał i kadłubem owo całym odpychał go począł, oba kulaki pana bić go jęły po łbie:

„Przez ciebie to bestjo okrutna, od której ani na krok w życiu oddalić się nie mogłem! Przez ciebie, krwio pijco mój!... Jakże mi było o kobiece łaski zabiegać — z tobą, upiorze?!... Każdy był przede mną zalotnik ruchliwszy i rywal szczęśliwy! Dawno by ona moją była, gdybym ja od cię wolny był!“

Niedźwiedź obity przyległ jak pies, pysk na łapach położył, nos w ziemię wbił. I u kopanej oto

mogily zdał się rozmyślać nad tem, że w onym dole, zasypane piargiem, w marmuru biel zastygnie z czasem nimfy cialo doskonale.

Na cmentarzu żywych kamieni, wśród gruzów i szczętków pogaństwa, wyrasta świeżej mogiły kopica. Za krzyż u wezglowia stoi nad nią opodal owa postać w marmurze, z odbitą głową; a pobok ów cokół z przyrosłemi stopami i dzbanem w kamieniu, — wraz z tym napisem, żłobionym w głazie:

„Aphroditae, divinae, sacrae...“

Śpieszy przeor przez środkową nawę, — żaki za nim, — i już ma zstąpić do krypty, gdy z pod ramienia wywnął mu się przed oczy waganę któryś.

„Mistrz kamieni żywych, — zaleca swe usługi.“

„Witaj, mistrzu!... Wiem, — za śmiercią ludzi drogich, lub cennych, następuje w ślad sztuka wasza: Ale nie u nas franciszkanów.“

Niezrażony tem, jął mu mistrz wyklądać, jakby to on, u ściany kruchty bodaj, zdziałał goliardowi nagrobek. Wpodłuż by go postacią ułożył, niby na kamieniu przydrożnym wsparłby głowę jego, stopy zaś nie o lewka, jak u panów, lecz o księgę, na znak że człek oświecony spoczął tu na wieki. Za tarczę i miecz — gęśle i smyczek by mu dał, by ludzie rozumieli, że poeta tu leży. I choć nie w zbroję, lecz w płaszcz i kaptur klerka przyodzieje go, wszystko inne, — w każdym szczególe, — zdziała jak na grobowcu wędrownego rycerza. Tak mu zbudzie, szaczy stopy długie, taką mu osmętnicę da w pierś, ulgłą pod brzemieniem zadumy, tak mu osępi, skobuzi lico pod kapturem, na sumienia frasobliwość wielką.

Dziwi się przeor, ale potakuje.

„Widzę! — rzecze. — Jużes to wszystko zdziałał ustami, już tu ręka mistrza nic ponoć nie doda... Nakazuję wciąż memu bratu Łukaszowi milczenie w mowie innej, nad pędzle i farby, aby tem wymowniejszą stała się przed Bogiem tamta jego mowa. Ty, baczę, nie otwierasz okna milczenia dla onej gołębicy, która w czas pracy najchętniej nas nawiedza... Bowiem nie ty, mistrzu, lecz Duch, żywymi czyni i kamienie... Obawiam się bardzo, zali dokonywane bywają zamierzenia twoje.“

Smoknął mistrz przeora w łokieć, niby w podzięce za duchowne pouczenie, a właściwie po to, by mu przeor gadać nie przeszkadzał.

Gadał tedy dalej, wywodząc gorączkowo: jak to on zamierza, — jak uczyni, — co to z tego będzie... W racjach i kaulach bardzo wymownych tłómaczy, jaka to wogóle powinna być expresja żywych kamieni.

Dziwi się przeor bardzo, ale potakuje wciąż. Wreszcie przerywa mu:

„Czynienie w milczeniu jest powagą rzemieślników Bożych. Takimi byli budowce onego tumu w grodzie: — ociętni w milczącym przykraiwaniu ciosu i kamieni, od grubych głazów na podwalinę, po najlotniejszą strzelistość wieź. I, nie doczekawszy się nawet dokonania dzieła, obliczonego na trud pokoleń kilku, schodzili w grób, po dwakroć bezimienni, — bo za życia i po śmierci, — jako my franciszkany... Tedy i goliard nie będzie miał nagrobka w kościele moim: raz, że ty go wogóle nie zdziałał, powtóre, że przeciwi się to regule naszej. Vale“.

„A marmuru tyle poniewiera się za wałena klasztoru!“ — sarknął mistrz.

Idzie przeor dalej, — żaki za nim, — gdy z ciemnej nawy występuje ku nim brat Łukasz, cały schowany w kapturze i sam jak ta zmora ciemności. Ujął przeor chorego za rękę i prowadzi między żaki, jakgdyby go z nimi zaprzyjaźnić chciał.

„Oto mój najcichszy, — powiada, — mój najbardziej milczący! I nieustannie w sobie pracujący, — w lęku wątpliwości ciągłych... Przydajcie mu, żaki, nieco własnej lekkomyślności, obudźcie w nim wasze młode władze radości i śmiechu, — *beati ridentes!*“

I objawszy go wpół przed oczyma żaków, błaga ich nieomal:

„Zlecicie mi go chłopcy, bo starość moja bezradna jest przed Acędją duszy młodej. Jeśli cieniem samego siebie ma się wałęsać po klasztorze, raczej tańczyć mi go nauczcie. Bo tańczyć brat Łukasz (widziałem) nie umie wcale.“

Zapalił wraz żaków ten apel do ich władz dusznych, — już okrażają mnicha.

Lecz on nachylił się tymczasem przeorowi do ucha i szepce coś tajemniczego, wskazując po za się, — w ciemności, za ołtarzem.

„Zwidy to i zmyry, bracie, — przerywa mu ojciec. — Z żądź zatajonych rodzą się one wszystkie.“

Opadły przeora żaki, w gwałtownem rozczekawieniu: co też się mnichowi zwiduje po ciemnościach?

„Powiada, że na fletni mu wciąż przygrywa w uszach, a podczas i wyskakuje przed niego, — płasający na kopytkach swoich.“

„Faunus! — odgadują żaki radośnie. — Pan!

„Cil.“ — zgromić ich musiał przeor za takie uradowanie się w kościele.

„Że zwid, wiadomo, — tłómaczył za wszystkich żak najroztropniejszy. — Aleć i taki bodaj nawet, — nie z piekła on rodem. Bowiem święty Antoni wy-

wiółł ich z ciemności pogaństwa; sami się o to doń zgłosili na pustyni egipskiej“.

Powtarzał żak akuratnie to, co dzień przed tem usłyszał było w gospodzie od goliarda. Ale po rozważeniu dodaje ku temu racje już własną:

„Za radością ciągnęło ich naturę zawsze. Aż ich dowiodła ta tęsknota do nowiny najradośniejszej, jaka kiedykolwiek była: — do betlejemskiej!“

Tu przeor zagarnął oburącz głowę żaka i wycałował policzki jego świeże.

„Dobrzeć to rzekł, bracie zaczął Sam brat Leon, najpogodniejszy przyjaciel Franciszka, nie powiedziałyby lepiej!“

Mnich tymczasem szepce dalej przeorowi na ucho, — że na nic teraz i klasztorowi pacierze jego: że między trędowatych mu teraz iść, ich rany omywać, wszy z ich łachmanów wygarniać: — dobroczynność sprawować“.

Smětnie kiwa przeor głową na to:

„I taką bywa ostatnia ucieczka nierządnego smutku! A w misercordię dla się radeby zamienić wszystką serc szczodrobliwosć — corda miserorum.“

Tu żak roztopny aż ręce w zdumieniu załamał:

„I franciszkanin taką rzecz powiada?! Tak miłość dla ludzi poniża?“

Przeor poklepał go tylko dłonią po czubie:

„Jakto mistrz i po śmierci nawet z ust żaków gada! Słowo w słowo słyszałem to już od niego. Jakbym z goliardem wciąż jeszcze rozmawiał tu, w waszej kompanii!“

Widząc jednak pewne zaniepokojenie sumienia w wejrzaniach młodzieży, dodać musi po chwili:

„Więdnie wszystko, co nie wyrasta z korzenia miłości. Prędsię, nie amor, nie misercordia, lecz caritas zwie się miłość nasza. Tu zaś (wskazał w dół, jakby na fundamenty klasztoru), tu, posiewem Franciszka, najgłębiej w łono ziemi sięgnął ów korzeń. Więc młodym płonkom z niego nie bluszczem czepiać się ziemi, lecz drzewem ku górze wyrastać!“

Zstępuje przeor do krypty, — żaki za nimi, — i zatrzymawszy się nad trumną goliarda, uprzedza żaków zasapanie nagłe:

„Nie masz smutku w śmierci! Żywie goliard w was i po skonie, każdym swem słowem, — słyszałem przed chwilą“.

„Żywie!“ — przytakują smętnie.

„Wodzi was i teraz jeszcze. I tu owo przywiodł was wszakże, — już po skonie.“

„Przywiodł!“ — potwierdzają żałośnie.

Zasiadł przeor w stali opodal i z pod oka przypatruje się tym żakom wędrownym, którzy wedle ducha wszakże chadzają po świecie.

„Nie smućcie się, chłopcy!“

I przypomniawszy sobie coś ze swych medytacyi dzisiejszych w celi, na skrzyni, — poczyna myśleć głośno przed żakami:

„Gdyby brat Łukasz nie zawiódł miłe było dzisiaj, za ostatni rozdział księgi naszej o błędnem rycerstwie dalibyśmy o błędności waganctwa wszelkiego zaświadczenie w prawdzie: jakto nie na kresach świata, nie na zamkach-niewidach zrojeń, lecz u progu nieomal, w pierwszej samotni za grodem znalazł Franciszek Graala! — na starcie smutków z oblicza ziemi, na odnowienie serc wszystkich! ... I napisalibyśmy z bratem Łukaszem na sam koniec, jakto nam, franciszkanom, rozmnożył święty w klasztorach swoich on znaleziony zamek graalowego cudu!“

Tu, czarem jakby nagle odmłodzony, porwie się przeor z ławy. I okrzyknie w rozpromienieniu oczu:

„Cieszcie się żaki! — wy jesteście na Monsalwaciel!... Tu mury same dyszą wiarą Abrahama, nadzieją proroków i miłością Zbawiciela naszego! Tu odnowicie w piersiach waszych tę nowinę najradośniejszą, jaka kiedykolwiek była: nowinę chrześcijan! spragnione usta wędrowników przyłożycie do onej czary, która rozjaśni wam w duszach świat cały — do żywego serca Franciszka!“

I nad oną truną czarną z gęślą u wezglowia wyciąga ku żakom ramiona.

„Wy jesteście na Monsalwaciel! A chociaż niedługo mi tu, wiem, pozostaniecie, choć was nie przyoblekę w habity nowiciatu, jednak tercjarzami Zakonu Ducha czynię was błogosławieństwem mojem... Gdziekolwiek Ducha sprawę jaką podejmiecie młodego serca żarem — ku temu, aby się starły smutki z oblicza ziemi i odnowiły serca czleczce, — tam graalową służbę pełnić będziecie!“

Tak żaki wędrowne, za pośmiertnym przewodem poety znaleźli Graala.

(K. CZ. III.)



Wracaście do domów, — romans już skończony.

Ta jest powieść o duszach tułaczycy i o ducha człeczego wiecznym nieukoju in figmentis rzeczy dalekich wam tu wiernie opowiedziana. Sobie i wam wiernie. A i w czwórton, jaki gęśle poddały: — w trubadurski, zonglerów, goliardowy i mniszy ton, by kamieniom wschodów człeczycy nadać czasów życie i kolory.

Za żywe kamienie postawiłem wam błędnych rycerzy, wędrownych igrców, klerków i żaków, oraz wędrowników wedle ducha.

Pomnę... jeschcem głową do szyb okiennych wczas nie siegał, gdy na podwórze zasłi raz waganty. Szalone „Bakchel“ brzmiało nieomal w hałasie moim na dom cały. I z oczyma dziecka u szyby, widziałem... Tak cudnie było, że opowiedzieć tego nie potrafię dziś wcale: zbrakło może w duszy tych najświeższych kolorów radości pierwszych. Może kto z was widział ich również za młodu?.. Ten przypomni może wraz ze mną, że ani skoczki już między nimi nie było, ani gędźca, lub śpiewaka, ani zonglera, ku opowiadaniu romansów, ani poety z gęślą... Więc smęt mnie dziś ogarnia nad tem, że od czasu śmierci goliarda tak się owo rozbiła, rozproszyła familia cała. Ta już tylko uboga gromadka kuglców, z silaczem i symfonistą włóczy się po świecie. — Daj im Boże zarabiać igrą na chleb powszedni!

My zaś towarzysze Muzy, — którzyśmy dawniej razem z tamtymi po świecie chadzali, a dziś, w odosobnieniu nieufnem, ślęczymy, każdy, po izbach ciasnych, by lucrare scribendo panem nostrum, — czem my lepsi dziś od tamtych poprzedników naszych? czem godniejsi przed ludźmi?... Goliard, — mimo licznych grzechów, był przed ludźmi człkiem postokroć wolniejszym niżli my dzisiaj, skoro najbardziej respektowanym osobom w mieście odważył się powiedzieć na rynku, że są wobec Muz rudes et idiotae. Wprawdzie zastawili go sobą towarzysze, obronił rycerz. Za nami nie ujmie się napewno towarzysz żaden, nie wstąpi w szranki żaden rycerz błędny. To też i wolności ducha naszego nie takie dziś wolne i szyje nie takie zuchwale. A spragnione usta wędrowników do innej przykładamy dziś czary: niepokój piersi tułaczycy koimy najskuteczniej u pierwszej strugi powodzenia... Bo czyż budzą się w nas one ducha troski a nieukoje wzywające wciąż do nowego szukania szukaniem?! Hej! ledwie za żakówskich i waganckich lat, gdy nas wodził po świecie zwid rycerzy błędnych na księżycu! — zanim

te mieszczan córy, a potem żonka i bachory, te baldachy i pierzyny ludzi osiadłych, nie nauczyły... respektowania respektowanych i pomiatania tem wszystkim, co się w grze życia nie wygrywa karta. — Daj Boże i w tym grodów smutku zarabiać Muza na chleb i szacunek powszedni!

Wy zaś, Muzy Terpsychory panie dzisiejsze, nie pogniewajcie się za waszą przodownicę przed wiekami: za skoczkę pływającą po rynku grodzkim. I, przez wzgląd bodaj na te brylanty dziś wasze, darujcie jej oną suknię z nędzy tę jej rozpusztę, nieopatrznie ladającą, — w której i największe podonczas ladacznicze zachowywały coś z dziecka, nimfy, i matki zarazem: owo niestępała wrażliwość kobiety! Onaż to czyniła nieraz i z takiej nawet królowę cygaństwa ślepą żórawicę ziemskiego piękna, na czele igrców sztuk wszystkich, po gościńcach swobody i beztroski!

A wy, żaki dzisiejsze, z paznokciami poobgryzanymi od pilnego czytowania ksiąg: — którzy wedle ducha przedewszystkiem szukacie, by najgórniejszym lotem zerwać się do życia... nunquam permanentes! Nie znajdę dla was w sercu lepszego życzenia nad ten żórawiany krzyk zapomnianego Arcypoety. Nie znajdę ponoć i bardziej płonego: osiadzicie rychło i wy — osiadłością wedle ciała i ducha.

Wam zaś, słuchacze miłościwi, za te grosze w mają czapkę na ławie składane, a bardziej za serc waszych czujność w zasłuchaniu, — to jedno opowiem na ostatek: —

Omylił się przeor we wróżbnych obliczeniach swoich. Pokolenie Chrystusa i apostołów, jako siewne, li-czońe być nie powinno: ziarno dojrzewało w następnych, osobliwie od czasu nawrócenia Pawła. Tedy do wróżb- nego roku 1890-tego jeszcze jedno pokolenie z ducha: czyli lat 30, dodaćby wonczas należało. Dziś zaś uczy- nić w tem i drugą poprawkę niewielką, licząc od onego czasu, gdy Papiież Grzegorz dobył nas z omyl- ności Cezarowego kalendarza... Zatem: — Ducha królestwo na ziemi: rządy najwolniejszych i najbar- dziej oświeconych nad wolnymi i oświeconymi, oraz czerpanie z najczystszych źródeł poznania — nastana... Obliczcie sami, lub, co łatwiej: spytajcie błędnych rycerzy czasów naszych.

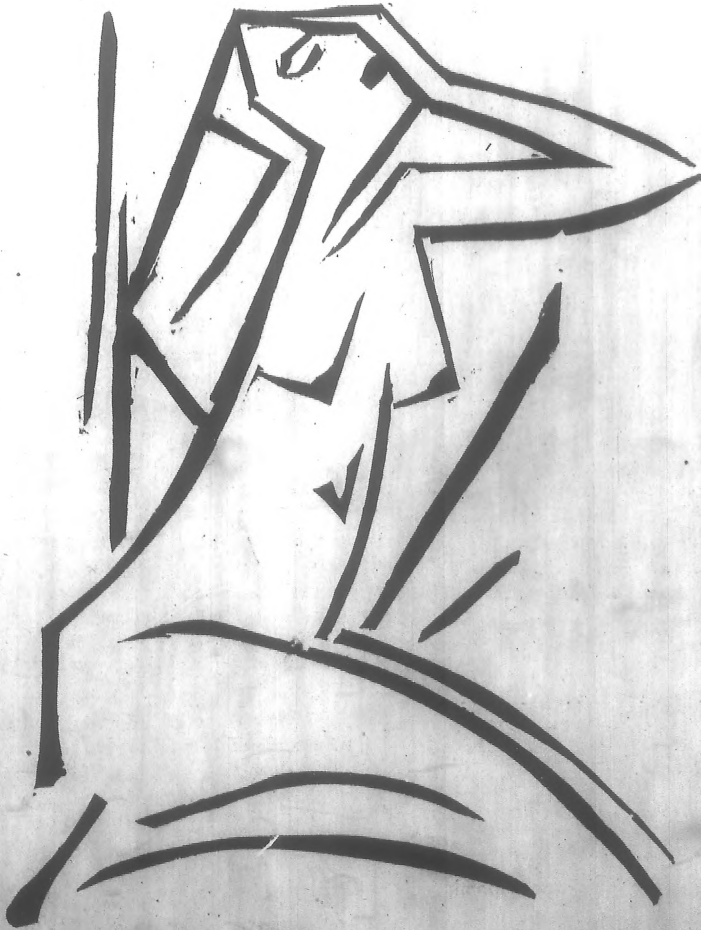
Gotyckiego tumu strzelistość podniebna, rzuciła, — gdyby cień przez wieki, — tajń dziwnego proro- ctwa na głowy naszego właśnie pokolenia. I na wspank tym, którzy i dziś brzuchem do ziemi przylgli, nawet u kościoła samego wrót, wywiodła, z kościoła jakby bram, żywe spiże rycerzy błędnych — wiarą w star- cie smutków z oblicza ziemi, w odnowienie serc człeczycy!

A jeśli i was omylą obliczenia wróżbne, a zawiodą znów rycerzy obietnice, — niechże ten ich duch, odradzający się na ziemi wciąż, uzacni nam dążenie w wszelakie dole ludzi osiadłych!... Może to lepiej nawet będzie, jeśli nie doczekamy się ziszczenia Królestwa Ducha, gdy wzamian pozostanie nam

dążenie? Nielacno odnawiają się serca z nawyknień czucia, myślenia i posiadania. Więc lepiej to może będzie, jeśli nowe niebo czasów przyszłych zajśnie nad głowami dzieci naszych? gdy stare niebo i ziemia stara — miną wraz z nami.

Kraków 1913/14.

Warszawa 1917.



ZAGŁADA DOMU USHER'ÓW

EDGAR ALLAN POE.

(C. D.)

Gdy weszłam, podniósł się Usher ze sofy na której spoczywał, i przywitał mnie z najwyższą serdecznością, co zrazu wydała mi się wymuszonym, nawykowym odruchem przeżytego światowca. Spojrzawszy mu wszelako w oczy, przekonałem się o najzupełniejszej jego szczerości. Kiedyśmy usiedli, milczał przez chwilę, ja zaś patrzyłem nań, przeniknięty na polę grozą. Zaiste, nie było snadź jeszcze człowieka, któryby w równie krótkim czasie uległ okropniejszym zmianom, jakie zaszły w Roderyku Usher'ze! W tej wybladłej istocie niełatwo przyszło mi rozpoznać towarzysza mych lat chłopięcych. A jednak oblicze jego zastanawiało zawsze swą wyrazistością. Śmiertelna bladeść lic, oczy duże, łzawe i niezrównanie promienne, usta nieco cienkie i nadzwyczaj blade, lecz składający się w przedziwnie piękną krzywiznę, nos subtelny, jak u żydów, kształtu, o rozdętych wszelako nozdrzach, niezdarzających się zazwyczaj u tego typu; broda szlachetnie zarysowana, lecz niewyrastająca, co świadczyło o zaniku woli; wreszcie włosy miękkie i delikatne, jak przedziwo: wszystkie te rysy w połączeniu z nadmiernie rozwiniętą skronią składały się na oblicze, które, niełatwo dawało się zapomnieć. Najistotniejsze wszakże tych rysów znamiona, jakoteż właściwy im wyraz uwydatniały się z czasem, co wywołało tak ogromną zmianę, iż jałem powątpiewać, do kogo mówię. Upiorna bladeść twarzy oraz czarodziejska świetlistość źrenic przedewszystkiem zdjęły mnie niepokojem i trwogą. Urosły mu również zaniedbane, jedwabiste włosy i opływały raczej, niż okalały jego lico dziwnym, jak gdyby pajęczym opłotem, którego arabeskowości żadną miarą nie można było pogodzić z myślą o zwykłym człowieczeństwie.

W zachowaniu się mego przyjaciela zastanowił mnie odrazu pewien bezład i rozprężenie; rychło zdałem sobie sprawę, iż były one następstwem słabych i płonnych wysiłków, zmierzających do opanowania przewlekłego nieukoju — daleko posuniętego rozstroju nerwowego. Na podobne objawy byłem zawczasu przygotowany, uprzedziły mnie o nich nie tylko jego listy i wspomnienia niektórych rysów z lat chłopięcych, lecz także wnioski, na jakie naprowadziły mnie właściwości jego temperamentu, jakoteż ustroju fizycznego. Ruchy jego były naprzemian żywe, to znów opieszałe. Głos jego (zwłaszcza w chwilach zupełnego odplywu sił) drżący niepewnością, nabierał nagle energicznej stanowczości, poczem ważkie, urwane, powolne i stłumione dźwięki przeobrażały się w ościeżale, zrównoważone i dobitne wysłowienie, podobnie jak u nąłogowych pijaków lub ludzi, opanowanych przez opium, kiedy znajdują się w okresie najsilniejszego podniecenia.

W taki sposób mówił o celu mych odwiedzin oraz o tem, iż gorąco pragnął mnie zobaczyć, spodziewając się, że dodam mu otuchy. Wyjaśniał mi obszernie, na czym polega jego choroba. Miało to być niedomaganie wrodzone i dziedziczne, na które — zdaniem jego — nie było lekarstwa: oczywiście tylko najzwyczajniejszy rozstrój nerwowy — dodał niezwłocznie — który rychło przemienie. Przejawiało się ono mnóstwem nieprawidłowych odczuwań. Gdy jał o nich opowiadać, niektóre zaciekawiły i przeraziły mnie zarazem, do czego w znacznej mierze przyczyniły się zapewne użyte przezeń wyrażenia oraz cały tok opowiadania. Dolegało mu wiele chorobliwe zaostrenie zmysłów; mógł spożywać tylko mdłe potrawy, znośną dlań była odzież tylko z niektórych tkanin: sprawiała mu przykróść woń kwiatów, nawet przyćmione światło raziło jego oczy, zaś wszystkie dźwięki okrom pewnych brzmień ostrzonych narzędzi muzycznych były dlań nie do zniesienia.

Podlegał niewolniczo jakiemuś osobliwemu uczuciu grozy. — „Zgubi mnie — mówił — to żalosne szaleństwo, mus i mnie zgubić. Wiem, iż przez nie zginę. Lękam się przyszłych zdarzeń, nie dla nich samych, lecz dla tego, co przyniosą, wzdrygając się na myśl o każdym, najbardziej nawet blahym wypadku, gdyż może on podniecić nieukojoną rozterkę mej duszy. Nie przeraża mnie niebezpieczeństwo, lękam się tylko jego nieuniknionego następstwa: grozy. W mem skołataniu — w mem zrozpaczeniu czuję, iż wcześniej lub później nadejdzie chwila, gdy postradam życie i rozum w walce z potworną chimerą TRWOGLI.“

Z czasem urwane i niejasne napomknienia odsłoniły mi jeszcze inne zagadkowe rysy jego ustroju duchowego. Zostawał pod zaklęciem jakichś przesądnych wyobrażeń, dotyczących domu, w którym mieszkał i z którego przez długie lata nie śmiał się oddalić, dotyczących również jakiegoś wpływu, którego rzekomą moc zawarł w określeniach nazbyt ciemnych, by dały się tu powtórzyć: pewne osobliwe właściwości,

utajone tylko w kształtach, tudzież materialnej istocie ródowego gniazda, drogą długotrwałego cierpienia miały wpływ ten na jego osiągnięć ducha: myślowe zatem oddziaływanie szarych wieżyc i murów, jakoteż mrocznej, odzwierciadlającej je toni przeniosło się ostatecznie w sferę jego duchowego istnienia.

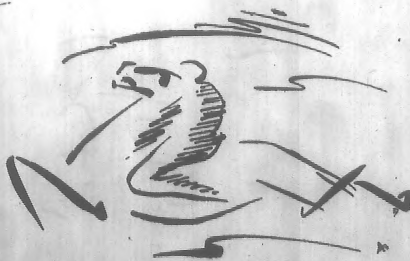
Przyznawał jednakże, acz nie bez wahania, iż gnębiącą go żalność dałoby się odnieść do prostszej i snadniej uchwytniej przyczyny, była nią ciężka i przewlekła choroba, a raczej bliski już skon ukochanej serdecznie siostry — przez długie lata jedynej towarzyszki i ostatniej jego krewnej. — „Po jej śmierci — rzekł do mnie z goryczą, której nigdy nie zapomnę — złamany beznadziejnością i niemocą, — będę ostatnim ze starożytnego rodu Usher'ów.“ Gdy to mówił, lady Madeline (gdyż takie było jej imię) przesunęła się zwolna w głębi komnaty i zniknęła, nie zauważywszy mej obecności. Patrzyłem na nią ze zdumieniem, niepozabawionym lęku, acz było dla mnie niepodobieństwem zdać sobie z tych uczuć sprawę. W drętwem osłupieniu podążałem spojrzeniem za odchodzącą. Kiedy podwoje zamknęły się za nią, oczy me bezwiednie i ciekawie przeniosły się na twarz brata, lecz ukrył ją w dłoniach i dostrzegłem tylko, że wychudłe jego palce powlokły się silniejszą, niż zazwyczaj, bledością, zaś skroś nich palące przesączały się łzy.

Zadawnionej niemocy lady Madeline napróżno starali się poddać lekarze. Przewlekła apatia, wzmagająca się stopniowo, wyczerpanie organizmu oraz częste, jakkolwiek przemijające objawy kataleptycznej poniekąd natury składały się na niezwykłą jej ddiagnozę. Dotychczas opierała się mężnie dolegliwościom choroby i nie kładła się do łóżka; ze schyłkiem wszakże pierwszego po mym przyjeździe wieczora uległa (jak mi jej brat nocą z niewysłowionem oświadczył wzruszeniem) trawiącemu ją schorzeniu, dowiedziałem się zarazem, iż owo przelotne widzenie będzie zapewne ostatniem — że żywej prawdopodobnie już nie zobaczę.

Przez kilka następných dni nie wspominaliśmy obaj jej imienia, upłynęły mi one na najusilniejszych staraniach, by ukońić melancholię mojego przyjaciela. Spędzaliśmy czas na wspólnem czytaniu i malowaniu, niekiedy snem niby ujęty zasłuchiwałem się w porywające improwizacje, które umiał wyczarować z gitary. Zacieśniająca się każdym dniem między nami zażyłość do tajników jego ducha coraz swobodniejszy torowała mi przystęp z tem większą atoli goryczą nabierałem przeświadczenia o płonności zabiegów, zmierzających do rozpogodzenia umysłu, którego oćma, gdyby jakaś nieodłączna i rzeczywista władza wszystkie zjawiska duchowego i myślowego świata nieustająco osnuwała żalnością.

Nie wygaśnie nigdy w mej duszy pamięć uroczystých chwil spędzonych w towarzystwie ostatniego z Usher'ów. Trudno jednakże byłoby mi określić dokładniej rodzaj tych studjów i zajęć, w które mnie wtajemniczył lub do których wytknął mi drogę. Jego czujny i dostojnie nieokiełznany idealizm wszystko swym fosforycznym oblewał blaskiem. Jego długie improwizowane pienia żalnosne nieustannie dźwięczą mi w uszach. Przeboleśnie utkwiała mi w duszy dziwna jakaś parafraza i dopełnienie dzikiej melodji z Ostatniego Walca von Weber'a. Z pomiędzy obrazów, co poczynały się z zadum jego twórczej wyobraźni i za każdym dotknięciem pendzla rozłączały się w nieokreśloność, tem przenikliwszym wstrząsającą mnie dreszczem, iż drzałem sam niewiedząc, dlaczego, — z pomiędzy tych obrazów (jakkolwiek żywo stoją mi przed oczyma) nie zdołałbym opisać żadnego, okrom niewielu pokrewných już dziedzinie pisanego słowa. Nadzwyczajną prostotą oraz najzupełniejszem odsłonięciem swych zamierzeń przykuwał i struchlałą oczarowywał uwagę. Jeżeli człowiekowi śmiertelnemu powiodło się kiedykolwiek namalować ideę, to Roderyk Usher tym był człowiekiem. Dla mnie przynajmniej — wśród okoliczności, w jakich się znajdowałem, z czy-stych abstrakcji, które ten melancholik starał się wyrazić na płótnie, wiała taka przepętźna i niewysłowiona groza, jaką płomienne, lecz nazbyt jeszcze rzeczywiste marzenia Fuseli'ego nie przejmowały mnie nigdy.

(C. D. N.)



Rysunek — Jerry Hulewicz

MICHAŁ SOBESKI

NA MARGINESIE DON KISZOTA

V.

(C. D.)

Zaprawdę nie omylił się Gomez Carrillo — wyszedłszy z pracowni Unamuna na ulice Salamanki, pełne słońca, gdzie „dziewczyny z ludu przechodziły rytmicznie“ — pytając się beznadziejnie: czy umie się wogóle śmiać ten człowiek? Unamuno nawet nie uśmiechnął się ani razu przy czytaniu utworu, budzącego zawsze wybuchy wesołości. Filip III, widząc studenta śmiejącego się na całe gardło nad jakąś książką, rzekł: albo człowiek ten zwariował, albo czyta Don Kiszota. Unamuno natomiast płacze, a właściwie łka, krocząc krok w krok za Panem Naszym Don Kiszotem po ciemniejszej jego drodze. Ból jego wyladowuje się ustawicznie w patetycznych, niemal delirycznych okrzykach: o mój Kiszociel! o mój święty!

Łkając tam gdzie inni się śmieją, obawia się oczywiście Unamuno, by najświętszych dreszczy jego duszy nie poczytano za... paradoksy, tanie i kłamliwe. Pragnąc temu z góry zapobiedz, mówi z goryczą: powiadają, że szukam z umysłu paradoksów, by uchodzić za oryginalnego, a ja z głębi duszy piszę ten komentarz! Doprawdy, że nie potrzebował się tłumaczyć — jak nie potrzebowałby się uniewinniać Paderewski, że zagrał na swój sposób Chopina. W przedwziewnej książce Cervantesa i dla Unamuna jest „miejsce. Komu kłęką potrzeba, ten znajdzie tam akordy modlitewne od razu i w pełni. I łączno sam siebie przekona, iż Kiszotowi rodzenem są rodzeństwem: i Calderon, szamocący się bezsilnie, by rozeznąć „życie“ a „sen“, i św. Teresa z św. Janem od Krzyża, przyzywający śmierć by zyskać życie, i Ignacy Loyola, ruszający w świat jako błędny rycerz w Chrystusie. Również bez trudu odszuka on tam jeszcze całkiem coś innego. W odwracaniu się od świata jako zjawy, urobionej złudnie przez intelekt, a w uwielbianiu świata jako wytworu czynnej woli — nihil cognitum quin praevalitum — znajdzie tam cały pragmatyzm z początku XX-go wieku, świeży jeszcze i ciepły, jakby mu go serwowali sami pp. William James i F. C. S. Schiller z United States of North America.

Jako samowładczy akt odtwórczy, jako spłot własnych akordów, owity koło Cervantesowego motywu, jest książka Unamuna niewątpliwie czynem. A fascynuje tem silniej, że puszcza w zawrotny taniec życia, snu i śmierci wszystko najwięcej hiszpańskie, wydobyte z książki najwięcej hiszpańskiej. Mistyk, brat rodzony Jana od Krzyża, rzuca się

w ramiona drugiemu swemu bratu, bandycie i łupieżcy dróg rozstajnych, Roque Guinartowi! Strona po stronie, od pierwszej do ostatniej, zaprawiona jest książka Unamuna kolorytem iście hiszpańskim: jak na obrazach Ribery, Zurbarana lub młodego Murilla, gdzie tuż obok oślepiających barw i światła kładą się głębokie, ponure cienie, jak purpurowe plamy krwi na rozświetlonym piasku arealy cyrkowej.

Lecz opuściwszy wszystko hiszpańskie: podłoże, koloryt i całą ornamentyką, odarłszy książkę Unamuna z oro, seda, sangre y sol, nie wydostaniemy z niej nic innego jak naukę o „złudzeniu życiodajnem“. Ono jest kwintesencją kiszotyizmu, istotą misterio qui jotesco. To jest owa wiara, z którą Kiszot podąża w świat i rzuca się na wszelkie niebezpieczeństwa. Ona wywołuje mu uśmiech szczęśliwości na licach, gdy o plecy jego grzmocą kije i kamienie. Przemienia mu chatę i dziewczkę wiejską w pałac i księżniczkę. Dla niej musi nawet umierać, aby Sanczo mógł nią żyć. Ona wreszcie zbawi Hiszpanję i ludzkość. Aficionados, wielbiciele Don Kiszota wiedzieli doskonale i bez Unamuna, że ta nauka o złudzeniu życiodajnem jest istotą kiszotyizmu — i by im czasem rozpoznanie to w pamięci się nie zatarało, przypomnieli je raz jeszcze Jerzy Żuławski, opowiadając „Jak Don Quixote pogodził Don Juana z Hamletem“. Mylili się tylko co do akcentu. Kładli go na słowie pierwszym, na „złudzeniu“. Stąd żywot i myśli Rycerza o smutnej postaci budziły w nich uśmiech rozbawiony, ba nawet nie rzadko śmiech homerycki. Dopiero Unamuno przesunął akcent na drugie słowo, na „zyciodajne“. I odrazu rozweselone twarze aficionados spoważniały. A śmiech zamienił się nawet na łkanie, widząc, jak zyciodajne Kiszotowe myśli i czyny, jedynie podatne do zbawienia Hiszpanji i ludzkości, sponiewierane są przez niewiarę i głupotę. Przełożenie akcentu przestoczyło uciészego manjaka w męczeńskiego świętego.

Gdy poprzez deliryczne okrzyki na drodze krzyżowej Kiszota przewinęło się przez mózg Unamuna pytanie: czy istnieje filozofja hiszpańska? — nie dziw, że nie mógł rozmodlenia swego przerwać na dłużej niż chwilę, by zawołać: tak, istnieje, jest nią kiszotyizm! W siedem lat później, wydawszy nową, niemniej ciekawą książkę, traktującą „Del sentimiento trágico de la vida en los hombres y en los pueblos“ (Madryt 1912), powrócił nieco szczegółowiej do tego zapytania. Oczywiście i tutaj nie otrzymujemy od rektora uniwersytetu w Salamance żadnej ściśle naukowej, „fachowej“ dysertacji. I tu mamy znów jeno erupcje wulkanu, huk i płomienie — lecz cenne, bo szczerze, prawdziwe, wybuchające od samego dna jego gorącego hiszpańskiego serca.

Z książki tej obchodzą nas tutaj wyłącznie uwagi, poświęcone kiszotyzmowi, zawarte przede wszystkim w ostatnim jej rozdziale: *Don Quijote en la tragicomedia europea contemporanea*. Słyszymy tedy z ponownym, zdwojonym naciskiem, że „kiszotyizm filozoficzny” czyli „filozofia kiszotowa” to w gruncie rzeczy całkiem to samo co filozofia conquistadorów, filozofia przeciureformatorów, wstrzymujących nowy napad barbarzyńców północy, filozofia Loyoli i przedewszystkiem Jana od Krzyża. Filozoficzny, spekulacyjny czy medytacyjny ten kiszotyizm jest, tak samo jak praktyczny, „obłądem” (*locura*), zawsze znieawidzonym przez rozum, tym samym, na który cierpiał Kiszot. Najcenniejszą spuścizną po Kiszocie jest, że pozostał on sam. Człowiek, żywy i wieczny, więcej jest wart od wszelkich teorii i filozofii. Kiszot bez przerwy żyje w sercach wierzących węż. Inne narody zostawiają po sobie książki, Hiszpanja zostawia po sobie duszę. Św. Teresa jest więcej warta aniżeli „Krytyka czystego rozumu”. A kiszotyizm to nie byle coś Kiszotyizm jest całą logiką, całą epistemologią, całą estetyką, całą etyką i przede wszystkim całą religią. Za co walczył Kiszot? Za Dulcyneę, t. j. za sławę, by żyć, by żyć po śmierci. Nie za Izoldę, która jest wiecznym ciałem, nie za Beatrycę, która jest teologią, nie za Małgorzatę, która jest ludem, nie za Helenę, która jest kulturą. Walczył za Dulcyneę i zdobył ją — dla tego żyje.

Największem w nim było, że został wysmiany i zwyciężony: właśnie jako zwyciężony zwycięzył. Opanował świat, pozwalając mu drwić ze siebie. Kiszot jest i walczy dalej. Pelen wiary w życie wieczne, walczy z inkwizycją naukową. Jak nowy Savonarola, ów Kiszot włoski z XV-go wieku, walczy przeciw erze współczesnej, która zaczęła się Machiavellem, a która skończy się komicznie. Walczy przeciw racjonalizmowi, dziedzictwu XVIII-go wieku. Dla spokoju wewnętrznego, dla harmonii między rozumem a wiarą niema w nim miejsca — chwalić Pana Boga. Świat musi stać się takim, jakim Kiszot chce, karczmy muszą być pałacami. Wtedy świat, na pozór zwyciężony, zwycięży. Zwycięży, śmiejąc się sam ze siebie i pozwalając śmiać się ze siebie.

A teraz wycisnąwszy jak cytrynę także i tę nieco rozszerzoną filozofję kiszotową — przedstawioną przez Unamuna znów jednym tchem, w ekstatycznych nawoływaniach, iście w szale dyonizyjskim — możemy ją określić krótko a węzłowato jako pragmatyzm uczuciowy. Kiszotyizm, to — jak widzieliśmy — złudzenie życiodajne. „Złudzenie” pojęte jako przeciwstawność do „zdrowego chłopskiego rozumu”, poczytującego karczmy za karczmy i młyny za młyny, do common sense, do racjonalizmu „Oświecenia”. Filozofja Kiszotowa idzie krok dalej. Od przeciwieństwa do racjo-

nalizmu tego pokroju przechodzi do skrajnego irracjonalizmu, od rozumu do uczucia. Złudzenie życiodajne staje się tedy ostatecznie jednoznaczem z „uczuciem życiodajnem”. Uczucie jest jedynym czynnikiem, na którym i z pomocą którego należy budować świat. Wszelaki rozum tutaj nic nie jest wart. Jest niszczyielski, wywodzący że nie ma ani Boga, ani duszy, ani nieśmiertelności. Rozum podkopuje wszystko żywotne w nas, wszystko, co mogłoby nasz złudny sen życiowy zamienić w prawdziwe życie. Rozum jest tedy w istocie swej nieprzyjazny życiu, antywitalny. Natomiast wszystko, co rozum niweczy i burzy, odbudowuje i podtrzymuje uczucie. Uczucie wprowadza z powrotem w serca ludzkie Boga, duszę, nieśmiertelność. Uczucie utwierdza i umacnia najgłębszy nasz instynkt życiowy, który nam krzyczy z całą siłą: no morir! Jest ono biegunowo przeciwstawne rozumowi, przeto nie należy ani żądać ani spodziewać się pojednania rozumu z uczuciem, rozumu z wiarą. Raczej właśnie z przeciwstawności tej należy czerpać soki żywotne dla prawdziwej filozofji, dla filozofji kiszotowej, odbudowującej uczuciem na nowo świat, zdruzgotany przez rozum.

Unamuno nie wspomina ani słowem, że filozofja kiszotowa — w jego rozumieniu oczywiście — jest w gruncie rzeczy pragmatyzmem. Lecz cały jej duch pragmatystyczny jest chyba aż nadto widoczny. Od prawowiernego pragmatyzmu amerykańskiego różni się silniejszym podkreśleniem uczucia, podczas gdy tamten wysuwa na naczelne miejsce wolę. Zgola jednakże zaś jest tu i tam podstawowe założenie: przeświadczenie o zupełnej niedostateczności rozumu jako czynnika poznawczego. Jako zadanie filozofji pocztywane jest ostatecznie tu i tam nie poznawanie świata, jeno budowanie sobie świata: świat jest i jest takim, o ile i jakim go sobie człowiek stwarza.

Całe to ujęcie kiszotyizmu jako pragmatyzmu jest jako symptom wysoce znamienne. Powtarza się w istocie całkiem to samo, co miało miejsce 100 lat temu. Jak dzisiaj tak i wówczas dopatrzono się w Don Kiszocie artystycznego odpowiednika filozofji właśnie aktualnej. Wiek temu ogłosili romantycy Don Kiszota jako najdoskonalsze artystyczne wcielenie filozofji romantyzmu. Widzieli w nim areywzór wszechwładztwa wyobraźni artysty romantycznego, igrającego z rzeczywistością, burzącego i budującego sobie świat według swej zachcianki. Schelling dostrzegł w Don Kiszocie „najuniwersalniejszy obraz życia”, całkiem ten sam, jaki w kategorii rozumowe ujmowała jego „filozofja identityczności”. Kiszot wyrażał artystycznie, zmyślowo to samo, co on wywodził pojęciowo. Istotą kiszotyizmu była mu bowiem „realność w walce z idealnością, co znamionuje właśnie nasz świat, który był opuścił sferę identityczności”.

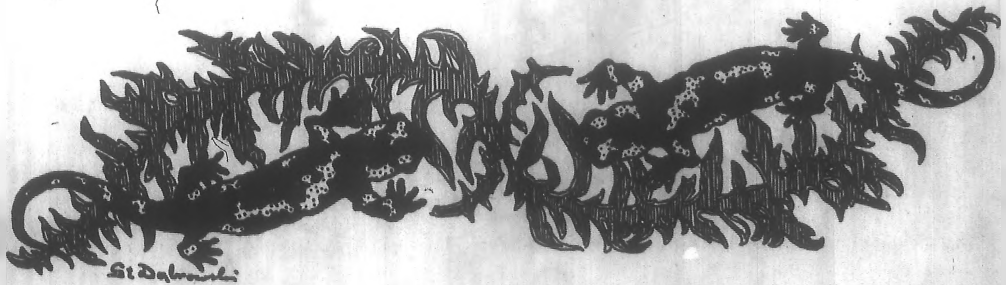
A teraz, gdy w filozofji odgrywa tak znamieną rolę pragmatyzm, dowiadujemy się, a przynajmniej doczytujemy się między wierszami, że pragmatyzm jest kwintesencją Kiszotyizmu. Doprawdy trudno o większy hold dla Cervantesa! W książce jego, gdzie pomieszczono już tyle najróżnorodniejszych rzeczy, znajduje się jeszcze miejsce dla rozbieżnych systemów filozoficznych. Oczywiście nie dla tego, by Cervantes był genjuszem filozoficznym, uprzedzającym rozmaite kierunki myśli. Z naukami filozoficznymi w ścisłym znaczeniu nie miał on wogóle nic wspólnego. Natomiast dla tego, że był genjuszem artystycznym, że stworzył prawdziwie wielkie dzieło sztuki. Każdy wielki twórca artystyczny jest, według głębokich słów Schopenhauera, odpowiedzią na pytanie: co to jest życie? Jest jak życie samo, wszyscy je znamy, wszyscy je żyjemy, a nikt go w gruncie nie poznał. Nikt nie zdołał go dotąd nawet dostatecznie określić! Może najlepszym określeniem jest owo negatywne a melancholijne, jakie zawarł przeszło wiek temu Xavier Bichat w zdaniu: życie jest ogółem funkcji, chroniących przed śmiercią, do której wiodą. Wszelkie pozytywne oznaczenia są wciąż jeszcze niedostateczne, niewyczerpujące. Zawsze pozostaje coś ostatniego, niewyraźnego. Uchwyciło się tysiąc oblicz życia, jest się coraz bliżej, tuż tuż, rozwiązania — a osta-

teczne misterjum jego pozostało w obliczu tysiącem pierwszym, nieuchwyconem i może nieuchwytnym.

Całkiem tę samą tajemniczość, to coś ostatniego, niesprowadzalnego, nieuchwytnego posiada utwór Cervantesowy. Z tysiąca stron podchodzi go się niestrudzenie, a niepodobno się wyzbyć wrażenia, że pozostała wciąż jeszcze strona tysiączna pierwsza.

Na wąskiej kanwie satyry literackiej, zapatrzony w ideał rycerza, jaki pieścił w własnym sercu, począł Cervantes snuć obraz duszy własnej, duszy hiszpańskiej. Rozpołowił ją na Kiszotę i na Sanczę. I rozszerzając coraz więcej pierwotne ramy, wplótł ją w stubarwne tło rozlewnego życia swej ojczyzny. Prócz szeregu jasnych, silnych i zdecydowanych rysów, wyposażył ją jeszcze w przebogatą skalę wibracji, napoczętych, niedopowiedzianych, migocących i mieniących się wieloznacznie jak uśmiech Mony Lizy. A całą tę skalę kiszotowych wibracji rozpiął między biegunami, między mistykiem i bandytą. Nie dziw więc, że można nie wiem co tam kłaść. Nie dla tego, by wszystko tam było — jeno dla tego, że między takimi biegunami nie wiem co się pomieści. Bodaj każdy, kto tylko zapragnie, coś ze siebie tam odnajdzie: jakiś tam Alonso Quijada czy Karol V-ty, Schelling czy William James.

(D. N.)



Rysunek — Stanisław Dębrowski.

FR. RAWITA GAWROŃSKI.

TARAS SZEWCZENKO I POLACY

(DOK.)

Po powrocie z wygnania i po zrzuceniu z siebie szyneli żołądkich, zarówno Sierakowski jak i Zaleski, gorliwie wyszukiwali stosunki swoje towarzyskie, aby zjednać sympatję dla Szewczenki i przyspieszyć jego uwolnienie. Jakkolwiek przyspieszenie nie zależało od nich, przyczynili się jednak nie mało do posunięcia tej sprawy naprzód. Oczywiście, szlachetnie myślący Rosjanie, a szczególnie hr. Aleksy Tołstoj i jego rodzina, gorliwie zajmowali się sprawą wyzwolenia Szewczenka. Nie było to rzeczą łatwą. Chodziło tu bynajmniej nie o ukraiński patryjotyzm poety, ale o obrazę osobistą rodziny carskiej, jakiej dopuścił się Szewczenko, przedstawiając ją karykaturalnie. Car nie mógł tego przebaczyć i z listy zbrodniarzy politycznych, przedstawionej mu do ulaskawienia, własnoręcznie wymazał Szewczenka. Dopiero przy drugim manifestie zdolano złagodzić zakrwawione żalem, serce carskie.

Niewątpliwie, Polacy zakrzętałi się koło tego bardzo gorąco — i nic dziwnego: była to istotna chęć niesienia pomocy męczennikowi i wyzwolenia z niewoli pięknej duszy poety, miotającej się tam w smutku, żalu i rozpacz. W jednym z listów do Szewczenki, Zaleski tak pisze: co ci mam mówić? Oto od sześciu tygodni jestem między swoimi, oddycham powietrzem rodzinnem, patrzę na łąki i gaje, na wszystko co drogie sercu memu, na twarze przyjaciół i krewnych. Szczęśliwy jestem jak nigdy w życiu nie byłem. Ale czyż mnie wypada mówić o szczęściu tobie, biednemu męczennikowi. Byłoby to wszystko jedno jak gdybym zdaleka pokazywał chleb głodnemu. O, mój przyjacielu! Jakbym ja pragnął podać ci kęs tego chleba, oglądać ciebie na łonie rodziny, wśród swoich, których tak szczerze kochasz. Wyobraź sobie, gdym wrócił, powitały mnie cztery pokolenia. Jakie piękne typy dziecięce dla artysty. Dzieci jednej siostry — wszystkie czarnookie, drugiej — z błękitnemi, jak niebo, oczętami. Ty kochasz dzieci. Mówiłem im nieraz, że mam starego przyjaciela, podobnego do św. Piotra, a oni pytają: kiedyż twój przyjaciel przyjedzie? Oczekują ciebie, mój przyjacielu i modlą się o twój powrót, jak się o mój modlili. „Warnak“, przygotowany do druku, znajduje się u Sowy. (Wrzesień 1856.)¹⁾ W innym liście pisze:

„Zygmunt (Sierakowski) zawiadamia mnie, że widział podanie o uwolnieniu ciebie.“²⁾

Sierakowski, opuszczając Orenburg w jesieni 1855 pisał do Szewczenka: „Baćku! Jest to rok radości i szczęścia; dzisiaj słońce nasze podniosło się na niebie do zenitu i nas też ogarnęło szczęście, najwyższe, możliwe w Orenburgu. Bronisław (Zaleski) zupełnie uwolniony i przed pierwszym czerwca wraca do naszej ojczyzny kochanej. Czekał na niego. Pojedziemy albo razem, albo ja go wyprzedzę. Serce, rozum, Bronisław, którego słowo dla mnie święte, wszystko mówi: pierwsza sprawa, baćku, twoja!“³⁾ Pan Bóg pobłogosławił moje zamiary i wzmocni je. Żyliśmy ze sobą na Wschodzie i zrozumieliśmy głębokie znaczenie słów: Alta Ekber — Bóg wielki. W imię Boże jadę do Petersburga i nad brzegi Dniepru. Nie obawiaj się — niezapomnę: Dniepr przypomni mi o tobie, baćku! Pułk, do którego jestem przeznaczony konsystuje koło Ekaterynosławia, nad brzegami Dniepru, na miejscu dawnej Siczy. Przy pierwszej wiadomości o tem napisałem „posłanie“ — otrzymasz je w tym roku. Myśl nie moja, uczucia — moje. Jest to myśl „o złączeniu się współplemiennych braci, mieszkających na obu brzegach Dniepru. Bywaj zdrów“.

PS. Jadę z pełną nadzieją, że los twój polepszy się. Bóg wielki a Car miłościwy. Baćku! Wielkim ludziom — wielkie cierpienia. Jednym z największych — to step bezdrożny, pustynia wielka. W pustyni mieszkał śpiewak Apokalipsy, w pustyni i ty teraz mieszkasz, nasz łabędziu!“⁴⁾

Jakkolwiek niewiele powiedzieliśmy o stosunkach Szewczenki z Polakami, a właściwie, z braku materiału nie wyczerpalimy tematu, i z tego jednak cośmy przytoczyli łatwo uczciwy czytelnik domyśli się tylko przyjaźni, tylko życzliwości, tylko czci dla jego nieszczęść i wielkiego talentu. Ale inaczej patrzyli na ten stosunek „zemlaci“ z punktu widzenia, że tak powiem, urzędowego, „żandarmskiego“. Pierwszy biograf T. Szewczenki Michał Czajłyj staje na stanowisku nie krytyka i psychologa, ale agenta tajnej policji rosyjskiej. Powiada on, że Polacy „zbalamucili“ (oboszli) Szewczenka i okpili.“⁵⁾ „Posługując

¹⁾ M. Czajłyj: *Żiżń i proizw.* str. 84.

²⁾ Wyrazy podkreślone w liście.

³⁾ Czajłyj: *Żiżń i proizw.* str. 82.

⁴⁾ M. Czajłyj był synem drobnego mieszczanina w Nowogródku Siewierakim. Po ukończeniu uniwersytetu został nauczycielem w Niemirowie podol., a potem w Kijowie. Wychowany w biedzie i nędzy, cenil wysoko ten mierny dobrobyt materialny, jaki zdobył. Z tego też powodu był wiernym narzędziem w ręku rządu, któremu wysługiwał się, demoralizując swoimi wykładami dzieci polskie; ośmieszał ich w oczach naród polski, a w szkole Rosjanom dla rozbudzenia nienawiści, a Polakom dla upokorze-

⁵⁾ Pisma M. Czajłyj: *Żiżń i proizwiedienija Tarasa Szewczenka.* Kijew 1882 str. 83.

regulą jezuicką — pisze ten pedagog polskiej młodzieży, — polegającą na tem, ażeby nie gardzić żadnemi środkami, prowadzącemi do celu i korzysta z łatwości i dobroduszości poety, Sierakowski i Padlewski (co tu robił Padlewski? — Niewiadomo), — powzięli zamiar użyć małoruskiego poetę jako sztandaru ukraińskiego i opanować ten sztandar. Usiłovali oni z tego zawziętego wroga narodowości polskiej uczynić powolne narzędzie i mało brakło, a byłby się on, stał sztandarem polskiej sprawy. Do takiego mianowicie celu było skierowane przez Sierakowskiego posłanie do Kobzarza „O zlanii się współplemiennych braci“.) Nie znamy oryginału listu Sierakowskiego, a mamy mocne podejrzenie, że zamiast o „zlanii się“ była w niem mowa o „połączeniu się“ obu narodów do wspólnej walki z Moskwą. Jest to tembardziej prawdopodobne, że organizatorowie powstania w r. 1863 na Rusi istotnie ludzili się możliwością wywołania wspólnej akcji, która się krwawo zakończyła dla marzycieli politycznych.

Jakże sam Szewczenko zapatrywał się na to „podejście“ jego przez Polaków? Jak w jego duszy odbijała się ta „intryga polska“? Jak się wyrażała w jego ideach i obrazach poetyckich?

Nie mamy żadnych śladów ażeby między Szewczenką a Polakami istniały jakieś układy lub plany polityczne. Może tylko w prywatnej rozmowie dotykano tego przedmiotu — i to, może? Czas rozpoczęcia akcji był jeszcze daleki i Szewczenko nie dożył tej chwili. Tam wszakże, gdzie wypowiadała się dusza poety, myśli jego i uczucia daleko odbiegały od pojęć większości „zemlaków“. Dopiero w bliższym zetknięciu się z Polakami Szewczenko zrozumiał, że Car moskiewski, to nie osoba, to — system, wykształcony wiekami długiej niewoli, który powstał na gwałcie i gwałtem tylko da się zwalić. Że nieraz o tem była mowa dowodzi chyba wierszyk, napisany w Orenburgu, którego treść może tylko zrozumieć dusza wychowana w niewoli.

Zaśpiewaliśmy i rezeszliśmy się
Bez lez i bez rozmowy.
Czy zejdziemy się znowu
I czy zaśpiewamy kiedyś?

nia, czytywał głośno na lekcji literatury rosyjskiej Tarasa Bulbę, słaby utwór Gogola, pisany żółcią i wyśmiewający Polaków. Czajły z niskiego poziomu umysłowego swojej sfery nie wyniął uczucia patryotyzmu: u Polaków dostrzegał tylko marzenie i śmieśność, u Małorusów uważał za głupstwo. Najbardziej jego duchowi podobaly się polityka i patryotyzm rosyjski: trzymać wszystko i wszystkich w jednej garści i pod jednym knutem.

¹⁾ Czajły: Żyżń i proizw. str. 82.

A może... Gdzież tam! Jakimi?
I zaśpiewamy — jaką?
Nie tutaj, nie takimi
I pewnie nie taką...

Dalsza treść, ostrożna, o życiu w Orenburgu i o nadziejach, dowodzi że wierszyk ten był reminiscencją rozmów z Polakami. Z Moskalami, choćby nawet i życzliwymi, nie rozmawiałby ani półsłowami, ani o przyszłości.

Swoją przeszłość kozacką wspominał często, ale coraz rzadziej obwiniał o nią Lachów, a do swoich zwracał się otwarcie:

Nedoumy
zanapastyły Bożij raj!

W otoczeniu Polaków poglądy jego na przeszłość wyjaśniały się i utrwalały. Jeśli winą Polaków było, że rozhukanej Kozaczyzny nie umieli ani powstrzymać, ani jej siłom nadać właściwego kierunku, że pozwolili rozrosnąć się pierwiastkowi anarchii w duszach kozackich aż do przybrania dzisiejszych potwornych kształtów, to Szewczenko równie dobrze zdawał sobie sprawę z tego, kto był winowajcą największym, kto zdeprawował politykę kozacką i serce narodu rosyjskiego. Dla charakteru tego wiersza, napisanego na rok prawie przed śmiercią, podajemy go w oryginale.

Jak-by to ty, Bohdane pjanyj
Teper na Perejasław hlanuw,
Ta na zamczyszczu podywywś,
Upywśia-b, zdorowo upywś!
Ty preproślawlennyj kozaczij
Rozumnij bat'ku! I w ameridaczij
Żidiwakij chati pochmelywś,
Abo-b w kalużi utopywś,
W bahni swyniaczym...

Amiń tobi, welykij muże,
Welykij, sławnyj — ta ne duże!
Jak-by ty na swit ne rodywś,
Abo w kołyści szcze upywś
To ne kupaw-by ja w kalużi
Tebe preślawnoho. Amiń.

Perejasław 18. 8. 1839.

Myśl wyrażona tutaj różni się mocno od tej apoteozy jaką Chmielnickiego otaczają Moskale i od tej fałszywej czi, bardziej zawistej niż politycznej, jaką otaczają imię jego dzisiejsi borytele ukrainizmu galiczyjskiego. Szewczenko napisał wprawdzie Hajdamaków, oparty o wspomnienia dziejowe, ale w przyszłość patrzył dalej: wiedział że droga, wskazana do Moskwy, ma tylko dwa wyjścia: do niewolniczego posłuchu albo wybuchającej anarchii. Dopiero przez te dwa etapy wyrównać się może ku wolności.

Szewczenko widział lepszą przyszłość Rusi z Polakami. Idei tej poświęcił wiersz do Polaków, przesłany Bron. Zaleskiemu.

Dajmy go także w całości w nieznanym polskim przekładzie.

Gdyśmy byli kozakami,
Unii nie było
Z wolnymi braćmi Polakami
Wolno się nam żyło.

Kwitnęły stepy nam wesoło,
Kwitły sady nasze,
Niby lilie w okolo,
Tak to, bracie Lasze.

Dumne były matki nasze,
Bo wolnych rodziły.
Tak, mieliśmy, bracie Laaze
I wolność i siły.

Ale oto w imię Boga
Przyszli Jezuici,
Zapalona chata droga,
A my krwią obmyci!

O, tak bracie! W imię Boże
Raj nasz zamócili,
I rozlało się krwi morze,
A chatę — spalili...

Schyliły się łby kozacze
Jak zdeptane trawy,
Ukraina płacze, płacze
Zmarnowanej sławy.

Pomarniało głów bez liku
A ksiądz wyśpiewuje
Głośno w obcym nam języku
Swoje Alleluje!

Tak to, tak to bracie Laaze,
Księża i panowie
Rozsiekali družbę naszą
Mieczem po polowie.

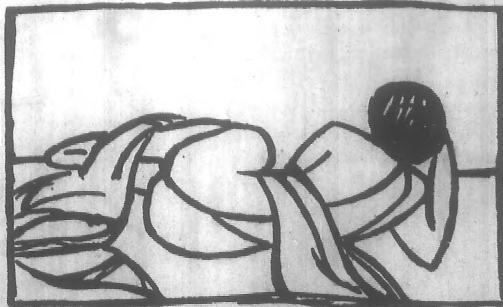
Podaj-że rękę kozakowi
I szczerze serce jemu daj,
Dopomóż, bracie, wyгнаńcowi
Odtworzyć dawny, cichy raj

Jeżeli zważymy, że wiersz ten napisany został w r. 1857, a zatem przy pierwszym zetknięciu się z Polakami, to mimowoli nasuwa się uwaga, że jest on następstwem długich poprzednich rozmów i dyskusji, które pozwoliły poecie spojrzeć na swoją przeszłość okiem nieuprzedzonym, umysłem nie sprzedajnym i sercem głęboko odczuwającym niedolę własnego kraju.

Te uczucia, a nie wzajemna obluda zbliżyły poetę ruskiego do Polaków.

D. 22 grudnia 1917.

Wisła, Śląsk Cieszyński.



Rysunek — Jan Hrynowski.

MISCELLANEA.

Stanisława Brzozowskiego: Módl się i pracuj.

(C. D.)

Dla Brzozowskiego była sprawa psychiki inteligentkiej już z góry przesądzona. Dla niego istniał tylko jeden typ, przybierający rozmaite określenia (romantyzm, sentymentalizm, racjonalizm itp.); nie wnikał ani na chwilę w faktyczną strukturę określających się historycznie społeczeństw europejskich i wydał na klasę inteligentów nieodwołalny werdykt. Rzecz ciekawa. Stworzony mu społeczny był tak silnie przez niego odczuwana rzeczywistością, że nie widział dookoła siebie żadnej ideologii, zasługującej na pozytywne określenie. Nie rozumiał tego, że inteligencja i jej psychika wyraża tylko pewne stany świadomości określonych grup społecznych, że, jeżeli nie ma współcześnie ideologii zaspakajającej jego pragnienia, to tylko dlatego, iż nie było konkretności społecznej, której by ona była wyrazem. Dla siebie samego nie mógł też w systemacie współczesnej mu zbiorowości znaleźć miejsca, gdyż żadna ideologia nie jest zawieszona w próżni twórczością. A przeto Brzoz. padł ofiarą abstrakcyjnej Fata Morgana. Metafizyczne bytowanie sam na sam z żywiołem, upajanie się przeświadczeniem o konieczności opanowania żywiołu swobodną pracą, wytworzyło w nim przekonanie, że budowa organizmów społecznych w Europie, ich stopień rozwoju i przekształcenia jest wszędzie identyczny. Brzoz. stworzył sobie w imaginacji świat społeczny, rzekomo odpowiadający rzeczywistości, a czy był on światem francuskim, niemieckim, czy polskim, — to było obojętne. Z tych też, prawdopodobnie nieświadomych założeń — gdyż siła abstrakcji zaważyła na ich oswobodności — wypływa krytyka i analiza specyficznego postępu polskiego, — jeszcze mniej uzasadniona, bardziej dowolna, aniżeli krytyka psychiki inteligentkiej wogóle.

Sorel występując do walki z typem ideologicznym o charakterze kompromisowym, czerpał eważne uzasadnienia z konkretnego, w określonych formach zarysowującego się ruchu syndykalistycznego. Poczucie realizmu społecznego było u niego tak silnym, że ideologia jego nie była, jak Brz. w pewnym miejscu zaznacza „zaopatrywaniem klasy robotniczej” w określoną ideologię. Sorel rejestrował fakty społeczne, analizował je i porządkował, i dawał im nie podstawę ale nadbudowę ideologiczną. Realizm Sorela, doprowadzający go zresztą do określonych związków z nacjonalizmem francuskim, był tak silnym, że kiedy w r. 1911 ruch syndykalistyczny zaczął przybierać bardziej polityczny charakter, kiedy okazało się, że świadomość społeczna pewnej grupy nie wiele dba o dostarczaną jej ideologię, lecz sama ją sobie atwarza, zależnie od własnych potrzeb, — Sorel nie oświadczył, że „tem gorzej dla faktów”, ale cofnął się, jak-gdyby zrozumiał, że, mimo swego realizmu nie uchronił się od abstrahowania od rzeczywistości.

Jak reagował Brzozowski na naszą rzeczywistość społeczną? W przedmowie do Idei pisze: „Praca nad sobą stała się samodzielną rzeczywistością. Kto chce innych reprezentować musi zależeć od tego, co o nim myślą, ale ja nie reprezentuję niczego... moja rzeczywistość jest we mnie... Jednocześnie przestałem być czuły na różnice intelektualne, znikome i złudne wobec rzeczywistości, jaką zdołał przy tych lub innych przekonaniach, ten lub inny żywy czy umarły wypracować” (XXIII). Charakterystyczne wyznaczenie, jedno z nielicznych, w których Brzoz. ukazuje się nam bez maski, jako skrajnie subiektywiata, romantyk i sceptyk, atwarzający sobie własną, wewnętrzną, samodzielną rzeczywistość. Indyferentyzm („przestałem być czuły”) w odniesieniu do wszelkich przejawów

życia, miał niewątpliwie swoje głębokie źródła w tragicznym splocie osobistych przeżyć, jakie złączyły nad nim i nad nami jako atrozne, niemożliwe do ogarnięcia oskarżenie. Wskazać i wyznaczyć możemy przyczyny tej nieosobowości społecznej Brzozowskiego, nie zmieniło jednak zasadniczego naszego stwierdzenia, że Brzoz. abstrahował od rzeczywistości społecznej, że jedyną rzeczywistością znajdował w sobie, a każdą inną do swojej tylko przymierzał. Nie czynimy mu z tego zarzutu, gdyż wolno każdemu twórcy w niekończonych możliwościach własnego przejawu twórczego, wyrażać się własnym wyrazem i własną formą. Ale Brzozowski dopuszczał się stale i konsekwentnie mistyfikacji wobec społeczeństwa, chciał być jego Janem Chrzcicielem, chciał zaopatrywać nas w system narzędzi umysłowych, za pomocą których możemy rozwijać swoją samoistność i bronić jej — a pracował tylko dla swej wewnętrznej rzeczywistości. Nasza konkretna rzeczywistość była dla niego identyczną z jego duchową, wewnętrzną rzeczywistością; nie wyzwał też ani na krok poza racjonalizm Hegłowski. Dlatego też jego walka z typem umysłowości polskiej, którą nazywał z przekąsem „postępową”, była Donkichoterją, pozbawioną rycerskiego rozmachu. Polska umysłowość postępową jest jeszcze czemś tak bardzo nowym, tak w powijakach, tak słabym i kruchym, że wypowiedzanie walki i wygromnienie jej przedmiotu, świadczy o egzaltacji wyzywającego, graniczącej z megalomanią. Historyczne podłoże naszej społeczności sprawiło, że do lat 60-tych m. w. jedynie bardzo cienka jej warstwa, klasy wyłącznie i wybitnie uprzywilejowane, wylaniały ze siebie zorganizowaną świadomość kolektywną. Nie były to — ściśle biorąc — wszystkie klasy posiadające, ale te warstwy, które z tych lub innych powodów miały w ręku władzę polityczną, lub też do przejścia jej się przygotowywały. Masy ludowe, rozpatrywane z tego stanowiska, były tylko materiałem, którym posługiwano się dla egoistycznych, stanowych interesów. Z chwilą pojawienia się na arenie życia społecznego, organizujących się zbiorowości drobnomieszczańskich, rozpoczęło się nowe narastanie psychiki inteligentkiej. Narastanie to — ze skomplikowanych przyczyn, o których tu pisać nie mogę, jak brak niepodległości, państwowości itd. — nie przybierało form odrębnych, odpowiadających interesom tej nowej zbiorowości, ale zostało wchłonięte przez istniejącą, już gotową psychikę klas uprzywilejowanych. Działo się to tem łatwiej, że klasa robotnicza nie istniała jeszcze jako organizująca się społeczność. Dopiero w ostatnich 30 latach jesteśmy świadkami organizowania się ideologii intelektualnej klas średnich (narod. demokr.), która jednak z powodu naszych niedomagań ekonomicznych w życiu miejskim, i wybitnego charakteru urzędowego, cięży raczej do klas uprzywilejowanych.

Dopiero ostatnio, w tym nienaturalnym i pozornym sojuszu narodowej demokracji, socjalistów i ludowców, dostrzedz możemy na naszym gruncie, pierwsze zasadnicze określenia odrębnej psychiki klas średnich, która wyzwalając się z pod przewagi warstw uprzywilejowanych, szuka własnych określeń i widzi mniejsze niebezpieczeństwo w związku z żywiołami proletariackimi, aniżeli z tymi, dla których była dotąd tylko materiałem do połknięcia. (Inna rzecz, czy ruch robotniczy ma taki sam interes w związku z ideologią klas średnich, czy i jemu z kolei rzeczy nie grozi takie wchłonięcie.) O typie postępowca polskiego, socjalisty, z którym Brz. tak zacięte walki stacza, jako o ich indywidualności napotykaną często wśród nas, nie można właściwie jeszcze rozprawić. Mielibyśmy i mamy wprawdzie kilka partii socjalistycznych, kilku wybitnych lub miernych polityków kilku — lub więcej — teoretyków, — ale poza jednostkami lub szczupłą gromadą, o umysłowości polskiego socjalisty, jako o przedmiocie analizy społeczno-kulturalnej mówić jeszcze za wcześnie. Raczej pielegnować należy to tak rzadkie i dla tego

tak cenne okazy na ugorze naszego życia społecznego, chociaż wiemy i widzimy, że nie stawiają one ani nadprzyrodzonych oporów w walce z wrogimi ideologiami, ani nie organizują odrazu syndykalistycznych zrzeszeń do bezpośredniej walki z kapitałem. Indyferentyzm Brzozowskiego i zapatrzenie się niewolnicze we wzory Zachodu, nie dopuszczało go do takiego postawienia zagadnienia. Psychika inteligencji, nie czerpiąca swego uzasadnienia z wytwórczości była jego zdaniem, szkodliwa. „Wytwórczość ukazywała się inteligencji nie jako dźwignąca ją podstawa, lecz przeciwnie jako konsekwencja jej działalności. Wywalała się ona z pod władzy konkretnej feudalnej rzeczywistości, nie wrastała zaś w rzeczywistość wytwórczą” (Idee 289 str.). A ponieważ, jak wykazywaliśmy, inteligencja postępową polską, uzasadnienia swego ze zorganizowanej pracy jeszcze czerpać nie mogła... więc — l'ecrasez l'infame! Oto konsekwencje Brzozowskiego.

EMIL BREITER.

(D. N.)

REFERATY w prasie naszej codziennej o „Drugim Wieczorze Zdroju” ponownie stwierdzają oplakany stan krytyki u nas. Nic to dziwnego, że gazeta, która jakiegokolwiek poczytanie „Zdroju” eo ipso przyjmuje nieprzychylnie i zawsze z wstykiem do niego jest niezadowolona, nie mając na zagadnienia literatury i sztuki żadnego poglądu — zadaniu sprostać może tem mniej, że z braku odpowiednich współpracowników posługiwać się musi amatorami, albo zgola początkującymi adeptkami pióra.

Sąd nieublagany (pocieszny) być musi, to też recenzentka jednego z pism naszych codziennych nie znalazła w całym wieczorze „Zdroju” ani jednego momentu dodatniego.

Zawiodły recytacje, zawiódł odczyt Bederskiego, zawiódł śpiew. Ale za to zabawiła recenzentka oczy swoje bibulkami niebieskimi na elektrycznych lampach, że potem główny nacisk w swej „krytyce” na świetlane efekty położyła, stwierdzając, iż świece na stole „nie robiły do twarzy” (ważny to moment literackiego wieczoru).

Wynika z tego, że jakakolwiek pochwała ze strony takiej krytyki byłaby tylko przykrą niespodzianką dla pisma naszego. Czegoż bowiem spodziewać się można od młodziutkiej debiutantki dziennikarskiej, która z całego utworu Bederskiego zdołała pochwytać jedynie ostatni wyraz „bydło” (jak sama w recenzji stwierdza), lub która utwór Meyrinka „Przekleństwo ropuchy” nazywa „rzeczą bardzo miłą?”

Wszelako prócz miłych słuchaczk byli w większości tacy, którym wieczór „Zdroju” przyniósł momenty głębokie, dobrze zrozumiane i odczute.

ANKIETA na temat: „Ekspresjonizm w Sztuce plastycznej” („Gazeta Wieczorna” Lwów).

Doczekał się już najnowszy prąd sztuki, zwany ekspresjonizmem, ankiety. Typowe to i znamienne. Głosy odpowiadające na ankietę nabiorą dopiero właściwej barwy po latach dwudziestu pięciu, jak barwy nabrały dzisiaj głosy współczesnych impresjonizmowi.

Wymujemy tu krótki ustęp z odpowiedzi wyróżniające się od innych i zasługujące na baczną uwagę. Autorem jej jest Jan Boloż Antoniewicz: kończy rozważania swe następująco:

„Na jedno pytanie stoli muszę zostać winien odpowiedzi, bo zastaje mnie ono zupełnie nieprzygotowanym.

Nie umiem mianowicie powiedzieć, czy ten kierunek sztuki należy z punktu narodowego potępić.

Najłatwiej nań się oburzyć, bo kto się oburza na cokolwiek bądź, ten ma zawsze za sobą „najpoważniejszych członków społeczeństwa”.

Ale zaniepokojony samem postawieniem tego pytania, roztrząsałem sumienie i przypomniałem sobie, — że przed laty piętnastu, uderzony raz genialnością dzieła Hodlera na jednej z zagranicznych wystaw, postanowiłem „medicans panem” prezesa Towarzystwa S. P. obraz ten wraz z kilkoma nader wybitnymi Skandynawami, jak Axel Gallen, Larsen i i. dla Lwowa na krótko pozyskać.

Ku memu zdziwieniu niemałemu wywołała „Wioana” Hodlera, dziś w jednym z pierwszych muzeów europejskich „rozgoryczenie” i „oburzenie”. Nikt imienia Hodlera we Lwowie bez kpiny nie wymawiał, a gdym ten obraz na mym wykładzie publicznym okazał, rozległ się po sali gwałt przeraźliwy. —

Zmarł Hodler przed dwoma miesiącami, dwa narody, stojące nad Marną w śmiertelnych zapasach, złączyły się w wspólnym żalu za tym największym mistrzem, co miał nazwisko, pochodzenie i wykształcenie niemieckie a czuł się Francuzem.

Ale we Lwowie gwizdano.

O Leopolis triplex!

Zgrzeszywszy zatem już raz tak bardzo, nie czuję się uprawniony do dania odpowiedzi na powyższe pytanie.

Mimo najlepszej woli nie umiałbym też powiedzieć czy „hachures” Delacroix, czy „virgules” Pissarra, lub „touches divisees” Cézanne’a i Sensata, lub wreszcie czy „macchie” Matisse’a są z punktu narodowego do zalecenia lub nie.

Mamy przecie tylu lekarzy duszy narodowej, wolno praktykujących i tyle aptek, że niewątpliwie i na to znajdą się recepty...”

WYCINANKI.

Gazeta Wieczorna. Lwów. (Ankieta o ekspresjonizmie).

„Przed kilkunastu laty wydał jeden z naszych najznakomitszych malarzy tekę, w której pomiędzy bardzo pięknymi rycinami znajdował się rysunek trudny do odgadnienia, co przedstawia. Gdy teka nadeszła, było u mnie dwóch bardzo wykształconych ludzi, którzy w życiu dużo widzieli i zaczęli się zastanawiać, co ta rycina właściwie ma znaczyć. Obracaliśmy arkusz na prawo i na lewo, do góry i na dół, ale nie rozwiązaliśmy szarady. Była to próba, której nasz artysta więcej nie powtórzy, była to chwilowa fantazja.

Tego rodzaju fantazje mieli nieraz nawet znakomici artyści, ale aby stąd miała powstać trwała szkoła, godna naśladowania, tego nie przypuszczono, rozsądek zawsze zwyciężał. I nowsze futuryzmy i tem podobne próby miały i mają być, bo wazelka sztuka plastyczna ma za podstawę rysunek oddający przyrodę. Objawy ekspresjonizmu mogą u nas tylko szkodzić rozwojowi sztuki, bo artysta, któremu się zdaje, że genialnie odtworzył jakąś myśl, jemu tylko zrozumiałą, zapomina o rzetelnym rysunku, w błąd wprowadza umysły, które się bliżej nad sztuką nie zastanawiały.

Ekspresjonizmowi, który obrał sobie kilka naszych pism periodycznych za arenę niefortunnnych ćwiczeń, życzymy, aby iaknajprędzej zbliżył się do rzeczywistości i nie lekceważył tego, co przed nim w sztuce istniało. Postać ludzka nie składa się z samych kwadratów i trójkątów i jest zrozumiałą na pierwszy rzut oka. Co niezrozumiałe, to nie jest wyrazem jasnego umysłu”.

Kazimierz Chłędowski.

„... Wpływ Cézanne'a na generację najmłodszych malarzy jest wielki. Wyszli oni z jego prawideł, ale tacy, np. ekspresjoniści zamiast je rozszerzyć, spaczyli je i doprowadzili do absurdum“.

„Co do zasadniczej kwestji, to malarstwo, jako sztuka dwuwymiarowa, nie może — mojem zdaniem — przedstawiać logicznie bryły we wszystkich jej rozmiarach, nie mówiąc już o tem, że nie podobna przedstawiać w niem w sposób przekonywujący np. biegu konia, tak, że maluje się kilkadziesiąt nóg naraz. Malarstwo, jako jedna ze sztuk pięknych, nie może dążyć do zbezkształcania i zochydzania tego piękna, co tak często dzieje się u ekspresjonistów. Proszę pokazać mi choćby jeden obraz cytowanego tak często Cézanne'a, który miałby właśnie takie cele. Piękno, to nie wylizana po fryzjersku główka, to nie fotograficzny pejzaż z ładnem oświetleniem, ale to emanacja duszy, która w chwili tworzenia nie wypowiada się przeciw trująco-klinicznemu techniem! Zatrucaniem kastalskiego źródła piękna jest to, co robią niektórzy ekspresjoniści, zatruciem dlatego, że nie jest to prąd, nie jest to dążenie do nowej syntezy tylko — bądźmy szczerzy — często nieuctwo, lub w najlepszej mierze aberacja twórcza“.

Artur Schröder.

„Francuzi i Niemcy, Anglicy i Włosi mają starą i wysoką kulturę artystyczną. Bez liku mają artystów, którzy umieją malować dobre obrazy, mają doskonale ilustrowane czasopisma i książki, uczą się poważnie rysunku w szkołach, posiadają mnóstwo towarzystw pielęgnujących kulturę estetyczną szerokiego ogółu, mają przedewszystkiem liczną publiczność, która odróżnia obraz lichy od dobrego i dobrego obrazu potrzebuje.“

Ci też nie poniosą wielkiej szkody moralnej przez to, że garstka odpadków artystycznych niezdolna zainteresować nikogo płodami swego pędzla, usiłuje zwrócić na siebie uwagę krzykliwą nieudolnością, którą grono recenzentów reklamuje, jako najnowszy „kierunek“ artystyczny. Bogate kulturalne społeczeństwa stać i na to“.

„U nas kierunek, który się artystycznym mieni i pod tą firmą propaguje kult nieudolności plastycznej wyrządza szkodę kulturze ogółu“.

„Tak rysować, jak nasi i nie nasi ekspresjoniści, futuryści i t. d. [potrafi każdy bez akademji i bez studiów prywatnych, bez nauki anatomji i perspektywy i bez kopjowania starych mistrzów“.

„Nogi w akcie ekspresjonisty przypominają parę kielbasek“.

„Kierunki, które u nas obecnie uchodzą za nowe i za artystyczne, były pośmiewiskiem na zachodzie jeszcze przed wojną, u nas się je dziś szepci na surowej glebie naszej kultury estetycznej z pomocą dwóch czasopism i specjalnych wystaw. Marinetti prowadził jakiś czas przed wojną walkę ze składnią gramatyczną; dla zrobienie sensacji propagował pisanie samymi mianownikami i bezokolicznikami. Nowy kierunek literacki! Fatalną przysługę oddałby naszej literaturze ten, kto by takie twory wprowadził do lektury szkolnej i chciał na nich kształcić młodzież. Podobnie robią ci, co dziś u nas propagują barbarzyńskie kierunki w plastyce, kierunki, których adepti zrywają

z gramatyką kształtu i koloru, wprowadzają w modę ortograficzne błędy rysunku, szereg indyferentyzm wzrokowy. Zabawka niezbyt amaczna, a zbyt kosztowna“.

Władysław Witwicki.

„Nie myślę się pono, jeżeli twierdzić się ośmielam, że i t. zw. „ekspresjonizm“ jest tylko jednym z epigonów owych niezdrowych modernistycznych pomysłów, które w krajach zachodnich, gdzie najpierw powstały, tracą już obecnie coraz bardziej grunt pod nogami. I raczej wywołują uśmiech politowania, aniżeli uznanie. Mam najwyższe uznanie dla wszelkiej „oryginalności“ w sztuce. Każdy artysta powinien być oryginalnym i indywidualnym, a jeżeli nim nie jest, to schodzi do rzędu kopisty. Zdaję sobie jednak zupełnie z tego sprawę, że we wszelkiej „oryginalności“ jest zawsze i być musi wielka doza „renesansu“, zaczerpniętego z jakiejś innej epoki. Sztuki plastyczne zbyt wielką i zbyt dawną mają historję i tradycję, placząwszy od wspaniałych w swym rodzaju dzieł starożytnych Egipcjan aż po nasze czasy, ażebyśmy mogli uwierzyć, iż to dopiero na jakichś niedowarzonych, młodocianych genjuszów XX. wieku trzeba było czekać, by sztuce najlepsze i jedyne prawdziwe wskazać drogi.“

Leon hr. Piniński.

„Aktion“, pismo poświęcone sztuce, literaturze i polityce, wychodzące w Berlinie, otworzyło w dniu 2. września r. b. w swoich salach wystawowych (Kaiserallee 222) specjalną wystawę obrazów i grafiki Jerzego Hulewicza, poświęcając równocześnie temuż artyście osobny swój zeszyt.“

PISMA NADEŚLANE.

Rzeczy Piękne, miesięcznik poświęcony architekturze, rzeźbie, malarstwu, ochronie zabytków, kościelnictwu i rzemiosłom. Kraków 1918.

Pod redakcją Adama Dobrodzickiego. Treść zeszytu I: Adolf Szyszko-Bobusz: Wnętrza wawelskie. Adam Dobrodzicki: Z zadań sztuki ostatniego dnia. Jerzy Remer: Nowe kierunki w sprzętarstwie. Witold Sobolewski: Dwudziesta pierwsza wystawa sztuki. Adam Niezabitowski: Odnowa drobnego przemysłu. Kronika.

Zapowiedziany zeszyt poświęcony twórcom francuskim zniewoleni jesteśmy nieco opóźnić z powodu nieotrzymania na czas części rękopisów. Stosunki cenzury granicznej są przyczyną opóźnienia.

OD REDAKCJI

Zeszytem niniejszym zamykamy „Zdroju“ tom IV. Dwadzieścia cztery zeszyty, które wyszły i dwa „Wieczory Zdroju“ świadectwem są całorocznej pracy naszej.

Kiedy w kwietniu r. 1917 wydaliśmy nasz prospekt, świadomi byliśmy zarówno technicznych jak i istotnych trudności, które nas wówczas czekały. Mimo to nie wahaliśmy się pracę naszą rozpocząć, przeświadczeni o jej konieczności i pełni wiary w jej owocność.

Techniczne warunki zgotowały nam w całej pełni zapory oczekiwane i zdołaliśmy je stopniowo pokonać, a choć za ich przyczyną nie doprowadziliśmy pisma naszego do tej wyżyny, o jakiej marzymy, to przecież zdołaliśmy je utrzymać na poziomie artystycznej i umysłowej powagi, co w warunkach spowodowanych wojną nie jest zbyt łatwe.

Przeciwności wszakże techniczne nie równały się przeciwnościom istotnym.

Już pojawienie się prospektu, zawierającego nasze „credo“, wywołało wrzenie w najbliższym otoczeniu naszym. O ile wszystkie twórcze umysły, które mogą się światu wylegitymować poważnym zasobem działań, gorąco i radośnie powitały program nasz i zapowiedź „Zdroju“, o tyle w Wielkopolsce, tej cichej, duchowo uspiętej ziemi, zawrzało nagle jak w ulu. Posypały się protesty i krytyki, miażdżono śmiałków, którzy się odważyli mącić sen powszechny.

Ucichło. Pierwszy ukazał się zeszyt „Zdroju“.

Znów protesty.

„Gdyby „Zdrój“ dał to, co zapowiadał w prospekcie!“ — wołano — „ale w piśmie tem niema niczego, prócz... prócz... prócz...!“

Ukazały się zeszyty dalsze.

Wtedy chwalono namiętnie zeszyt pierwszy w przeciwstawieniu do zeszytów następnych.

Wśród ostrej, narzuconej nam walki o zasadnicze postulaty dzisiejszego człowieka, o wolność przekonań, przeszliśmy pierwszy okres wstępny zamykając dwa pierwsze tomy pisma naszego.

Walka stawiała się dla przeciwników naszych coraz trudniejszą. Próby obniżania wartości dzieł całego szeregu potężnych twórców polskich i obcych, którzy na łamach „Zdroju“ wystąpili, ośmieszały tylko malkotentów; przeto uznali za wskazane niekiedy podkreślić siłę i piękno utworów pojawiających się w piśmie naszym, ale dla przeciwwagi zaczęli wołać tem dobitniej, że „Zdrój“ od siebie zgoła nic nowego nie daje.

Aż przyszedł moment, że ci, którzy do tego czasu niczego w „Zdroju“ widzieć nie chcieli — nagle aż nazbyt wiele ujrzeć musieli.

Poświęcenie kwietniowego zeszytu „Buntowi“ było momentem zwrotnym. W szeregach naszych przeciwników powstało takie zamieszanie, że nie tylko zmysł estetyczny, ale i moralny uczył się zachwiany w swoich posiadach. Istota duchowa i istota fizyczna przeważającej części ogółu naszego wywrócona została „na ręby“.

Na brak „rzeczy nowych“ uskarżać się zaprzestano, ale tem skwapliwiej zaczęto się organizować przeciw tym „rzeczom nowym“, co to trucizną są dla starej duszy.

„Zdrój“, który zaczął od tego na czem skończyła „Chimera“, aby nie było zbyt rażącej luki w czasopiśmiennictwie naszym, starał się pospiesznie podążyć za twórczością dzisiejszą i dlatego pisma naszego stopniowe przeobrażanie się (aby wypełnione były programowe postulaty) niejednemu wydawało się brakiem jednolitości, brakiem wytkniętego celu.

W przeciągu pół roku zdołaliśmy w przybliżeniu stanąć tam, gdzie kwitnie najnowsza twórczość polska i odtąd po jednej z nią linii bieżymy. A jeśli w zakresie literackim ażwi-

gamy jeszcze pewien balast starzyny, (nie co do czasu) to przyczyny może raczej szukać należy w tej okoliczności, że twórczość literacka w Polsce w najnowszych swych porywach mniej dotąd zdołała się ujednoczyć i mniej od dawniejszej uniezależnić, niż n. p. sztuki plastyczne.

Z tego wszakże nie wynika jakoby „Zdrój” dążył do jednostronnego służenia Sztuce. Stwierdzają to liczne poezje i utwory prozą, oryginalne i tłumaczenia, stwierdza również nasz niedwuznaczny kult Słowackiego.

Ni czas ni różnice plemienne ograniczają działanie „Zdroju” i w ten sposób spełniamy wiernie przyrzeczenia czynione w prospekcie.

Żywe słowo w pracy naszej ważną odgrywać ma rolę. „Wieczory Zdroju” celowi temu służą. Zdołaliśmy dotąd zorganizować dwa wieczory i skupić po sto kilkadziesiąt słuchaczy (zapewne takich przeważnie, którzy najbliższej stoją naszej myśli przewodniej, bez względu na to, czy na postulaty nasze godzą się, lub nie.)

„Wieczory Zdroju” zarysowują wyraźnie nasze dążenia i stwarzają łączność między twórcami a czytelnikami, widzami lub słuchaczami. A dotychczasowe doświadczenie zniewala nas do pójścia w tym samym kierunku i do częstszego organizowania wieczorów.

Na zewnątrz praca nasza nie pozostała również bez owoców. Mimo utrudniających warunków zdołaliśmy wejść w bliższą styczność z twórcami, z czasopismami i organizacjami kulturalnymi w Niemczech, w Czechach, Danji i częściowo w Skandynawji. Dalsza zagranica stanie nam otworem zapewne po wojnie dopiero.

...„Sztuka polska zepchnięta w „pańszczyznę”, z doli swej wyzwolić się dotąd nie umiała.

„Co gorsza, nad tym jej obowiązkiem, którego porzucić nie sposób, przewodzi niejeden rozwielniony karbowy, a niejeden ekonom potrąca ją według swego widzenia rzeczy w ekonomicznym kierunku. Zamiast wzywać i zagrzewać do głębokiej uprawy, orki, bronowania i umiejętnego przetworzenia samego życia, włóдарze dziennikarscy popychają tam i sam sztukę — i jej to niejednokrotnie harapem zalecają ten poruczony zakres działania”.

(Stefan Żeromski).

Przeciw poufałemu a rubasznemu potrącaniu sztuki, tej najwykwintniejszej i najdostojniejszej istoty w narodzie, występujemy z całą bezwzględnością. Rubaszość ta wszakże tak się u nas zakorzeniła, iż nie łatwo chwast ten w krótkim czasie wyplenić. W dziedzinie krytyki przecież zauważyć możemy nieznaczną zmianę na lepsze — niejeden bowiem z „ekonomów” zamilkł już pod wpływem razów „Zdroju”.

„Ekonomi” wszakże roztoczyli swe dzierżawy na wszystkie gałęzie naszego życia zbiorowego i każdy ze stanowiska swego ciemnego widnokregu sztuką pomiata, o ile nie jego służy przyziemnym celem, ubranym często w dogodne hasła i tanie napisy.

Przeciw wszystkim tym uzurpatorom walkę staczamy wśród sypiących się na głowy nasze gromów potępienia, wśród których raz wraz przebłyśka silne, przekonaniowe słowo — że zastęp nasz z dniem każdym się pomnaża.

Koniec pierwszego roku naszej pracy przynosi nam wywalczoną możliwość swobodniejszego niż dotąd działania. Odtąd w przygotowaną glebę siał będziemy czyste ziarno twórczych objawień i chronić będziemy łany nasze przed bławatem i kąkolem, przed gradem i szerszeniem.

Nieznane pisma Norwida, te jeszcze dotąd ukryte klejnoty polskiej twórczości — otworzą podwoje drugiego roku „Zdroju”.

SPIS RZECZY.

TOM IV.

ACHARYA ANANDA		
Poeta a świat		33
Ostatnie słowa		97
ARCHIPENKO ALEKSANDER		
Rysunek		134
ASBEIN		
Z „Golgoty se.ca i ducha		46
BERENT WAĆLAW		
Opowieść rybalta	10, 71, 137, 171	
BREITER EMIL		
St. Brzozowskiego: Módl się i pracuj	93, 126, 158	
CAPEK JOSEF		
Drzeworyt oryg.		21
CLAUDEL PAWEŁ (tłom. Miriam)		
Z „Wierszy wygnańczych“		69
CZYŻEWSKI TYTUS		
Rysunki		52, 53
DĄBROWSKI STANISŁAW		
Rysunek		182
DICKSTEINÓWNA JULJA		
Michała Sobieskiego: Filozofja sztuki		62
FARRÉRE CLAUDE (tłom. Jadwiga Przybyszewska)		
Z cyklu „Opium“	111, 143	
HAUSNERÓWA STANISŁAWA		
Zagadnienia doby obecnej w oświeceniu nauk teozoficznych		103
HEIDENSTAM KAROL GUSTAW VERNER (tłom. Miriam)		
<i>Bezimienny a niesmiertelny</i>		8
HRYNKOWSKI JAN		
Rysunek		185
HULEWICZ JERZY		
Białe cienie		130
Drzeworyty oryg.	2, 33, 35, 40, 48, 70, 92, 97, 98, 110, 117, 120, 130, 131, 145, 171, 175	
Rysunki	10, 28, 45, 71, 137, 171, 175	
HULKA PAWEŁ		
<i>Giordano Bruno</i>		116
J. H.		
Trust		125
JAWORSKI KAZIMIERZ		
Na wiejskim cmentarzu, Powrót		153
KEATS JOHN (tłom. Miriam)		
<i>Oda do greckiej urny</i>		135
KUBICKA MAŁGORZATA		
Drzeworyt oryg.		65
KUBICKI STANISŁAW		
Poeta a świat		1
Rysunek		101
LERMONTOW MICHAŁ (tłom. Miriam)		
*		170
ŁUSKINA EWA		
Wypiański-Swiatowid	22, 86, 121	
MINNE GEORGES		
Drzeworyt		136
MISCELLANEA	29, 63, 93, 125, 158, 186	
NADELMAN ELI		
Rysunek		157

NIESIOŁOWSKI TYMON	
Rysunek	54
OBRZUD STANISŁAW	
Ostatnia noc	161
OLWID	
Nocne ognie, Msza	80
Patrzaj dziecko, Tanecznicza	109
OSTROWSKA BRONISŁAWA	
Przedwiośnie	20
POE EDGAR ALLAN (tłom. Stanisław Wyrzykowski)	
Włość arnheimiska	43, 82,
Zagłada domu Usher'ów	151, 178
PRONASZKO ZBIGNIEW	
Rysunki	16, 20, 68
PRZYBYSZEWSKI STANISŁAW	
Ekspresjonizm, Słowacki i Genesiz z Ducha	5, 36, 66, 99, 132, 164
PUCHAŁA ANTONI	
Poezje	52
RAWITA - GAWROŃSKI FRANCISZEK	
Szewczenko i Polacy	55, 89, 118, 154, 183
SKQTAREK WŁADYSŁAW	
Okładka tomu IV.	
Rysunek	81
SŁOWACKI JULJUSZ	
Z „Króla Ducha“	2, 35, 98
SOBESKI MICHAŁ	
Na marginesie Don Kiszota	17, 49, 77, 113, 146, 180
SOŁOGUB FEDOR	
	95
STORM TEODOR (tłom. Miriam)	
<i>Na ustroniu, Słowik</i>	102
SWINARSKI ARTUR	
Drzeworyt oryg.	150, 189
TENNER JULJUSZ	
O muzyce wiersza	26, 59
WIZE KAZIMIERZ FILIP	
Estetyczna teoria gry	29
WRONIECKI JAN JERZY	
Drzeworyty oryginalne	7, 9, 19, 25, 76, 80, 129
ZAMOYSKI AUGUST	
Rysunek	39
ZEGADŁOWICZ EMIL	
Z „Legendy Ziemi“	3
Exodus	40



Oryginalne drzeworyty i akwaforty

Artystów: Jerzego Hulewicza, Małgorzaty Kubickiej, Stanisława Kubickiego, Stefana Szmaja, Władysława Skotarka, Jana Wronieckiego, Augusta Zamoyskiego

nabyć można za pośrednictwem naszym

REDAKCJA „ZDROJU” — Poznań, Plac Wilhelmowski 17

„OSTOJA” Spółka Wydawnicza w Poznaniu

poleca jako nowość

Adolfa Nowaczyńskiego

Szkice literackie

Cena mk. 9.—

Nabyć można we wszystkich księgarniach.

„POLSKA”

PISMO TYGODNIOWE Z OBRAZKAMI. POLITYCZNE, SPOŁECZNE, OŚWIATOWE,
GOSPODARCZE, SPRAWOM LUDU POLSKIEGO POŚWIĘCONE.

Prenumerować można wprost z redakcji:

Warszawa, ul. Hortensji, Nr. 7, m. 21.

oraz na wszystkich pocztach w okupacji niemieckiej.
(Skrytka pocztowa No. 64).

PRZEDPŁATA wynosi rocznie 10 mk. półrocznie 5 mk., kwartalnie 2 mk. 75 fen. miesięcznie 1 mk.
w okupacji niemieckiej, a 15 koron rocznie, 7 kor. 50 hal. półrocznie, 4 kor. kwartalnie i kor. 50 hal.
miesięcznie w okupacji austriackiej.

MASKI Czasopismo ilustrowane, poświęcone
literaturze, sztuce i satyrze ❖ ❖ ❖

Wychodzi 1. 10. i 20. w miesiącu — — Adres Redakcji i administracji: **KRAKÓW, Wolska 1 19**
Prenumerata z przesyłką: kwartalnie 20 kor. — półrocznie 38 kor. — rocznie 75 kor.

Druk nowej powieści K. Tetmajera p. t. „Walka”, cykl „Listów ze wsi Wł. Orkana. Z dniem 1. lipca
druk cyklu nowel tatrzańskich K. Tetmajera, które obejmą nowy VIII. tom „Skalnego Podhala.”

Na Poznań i W. Ks. Poznańskie główne zastępstwo sprzedaży „Masek”
objęła Księgarnia A. Cybulskiego w Poznaniu.

S. KALAMAJSKI, Plac Wilhelmowski 2.

Dla Pań		Dla dzieci		Dla panów	
Bluzki	Pończochy	Sukienki	Torebki	Skarpety	Szelki
Gorsety	Rękawiczki	Trykoty	Koźnierzyki	Rękawiczki	Trykoty
Halki	Koźnierzyki	Fartuszki	Kapelusze	Krawaty	Parasole

TOWARY KRÓTKIE — KORONKI — WSTAŻKI.

POLONIA Księgarnia Nakładowa i Komisowa

Lausanne, Maison Kursaal, Szwajcaria

przyjmuje wydawnictwa we wszystkich językach na rachunek komisowy oraz dostarcza wszelkich wydawnictw i czasopism zagranicznych w językach polskim i obcych.

Zamówienia wykonywa się starannie i szybko.

NIEZNANE PISMA

≡≡≡ NORWIDA ≡≡≡

UKAZĄ SIĘ NA ŁAMACH „ZDROJU”
W PAŹDZIERNIKU R. B.

Pro arte et studio miesięcznik warszawskiej
młodzieży akademickiej

Prenumerata roczna z przesyłką 30.— mk., półroczna 15.— mk., kwartalna 7.50 mk.

Cena numeru pojedynczego 2.50 mk.

Przedpłaty przyjmują Gebethner i Wolff (skład główny) oraz inne księgarnie.

Adres redakcji: Złota 8 m. 5.